

Gennadij Ajgi

ŚNIEG

*Śnieg jest blisko
i kwiaty w oknie takie dziwne.*

*Uśmiechnij się do mnie, choćby za to,
że nie wymówię słowa, którego nie rozumiem.
Oto wszystko co mogę ci teraz powiedzieć:*

śnieg, stolik, powieki, lampa.

*A moje ręce
są proste i dalekie.*

*Ramy okienne
jakby wycięte z białego papieru.*

*Tam, za nimi,
wokół lamp
krąży śnieg
od początku naszego dzieciństwa.*

*I będzie krążył, dopóki na ziemi
ktoś o tobie myśli, ktoś z tobą rozmawia.*

*Te płatki białe kiedyś zobaczyłem
w pełnej świadomości,
zamknąłem oczy, nie mogę ich otworzyć,
wirują białe iskry,*

*a ja
zatrzymać ich
nie potrafię.*

POCZĄTEK LASU

*Miękko jak wosk nagle przystosowany
cały zapłonie
wyrębem, ogniem, połączeniem ognia i wyrębu,
miejscami, gdzie na wieki zostanie matczyzny głos:
„Do do - mu”.*

*Pokora kubików, która w wagonach tak niepokoi,
tu kołysze się w ciszy,
obdarta kora nawet we śnie bieleje
jak koronki po balu.*

*W gorącym, drzącym powietrzu przemieszcza się
jeszcze*

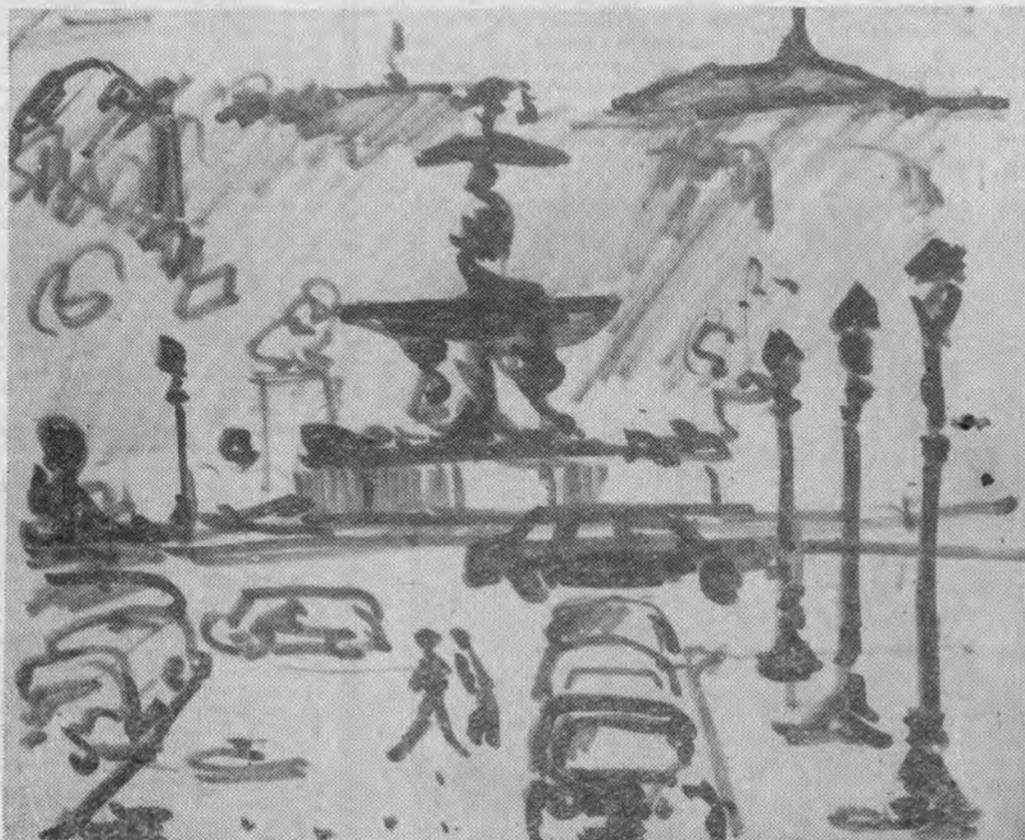
*coś żywego, widzianego troiście —
studzienka, wzgórze, dom,
zalotna dziewczyna za rzeką,*

*przybliża się
i oddala.*

Przełożył
Jerzy Pleśniarowicz

GENNADIJ AJGI urodził się w roku 1934 w Czuwaszji, we wsi Szajmurzino Batyriewskiego powiatu. W roku 1953 ukończył Batyriewską szkołę pedagogiczną, studiował w Moskiewskim Instytucie Literackim im. M. Gorkiego pod kierunkiem Szkłowskiego i Swietłowa. Po ukończeniu Instytutu (1959) wiele podróżował po Syberii i Ałtaju. Obecnie pracuje w Moskwie w Muzeum Majakowskiego. Pierwsze dwa zbiory wierszy ogłosił w języku czuwaskim (1958, 1962). Przetłumaczył na język ojczysty „Wasyla Tiorkina” A. Twardowskiego, utwory Majakowskiego, a także sonety Dantego, wiersze Baudelaire’a, Verlaine’a i Rimbauda. Przygotował dla wydawnictwa czuwaskiego antologię poetów francuskich.

W Polsce na twórczość Ajgiego zwróciła uwagę „Poezja” ogłaszając w lutym 1967 roku tłumaczenia Artura Międzyrzeckiego, Mariana Grześczaka, Seweryna Pollaka i Wiktora Woroszyńskiego.



EDWARD KIEFERLING — PARYŻ — Fontanny na placu Concorde.

Andrzej Tokarczyk

450-lecie Reformacji

DNI, KTÓRE WSTRZĄSNEŁY PAPIESTWEM

„Exsurge Domine! Powstań, Panie! Lisy niszczą winnicę, którą powierzyłeś następcy św. Piotra. Niedźwiedź z lasu trąta ją, dzika bestia pożera” — wołał w swej bulli z dnia 15 kwietnia 1520 r., wymierzonej przeciwko Marciniowi Lutrowi i jego tezom, papież Leon X. Pisał te słowa człowiek, którego roczne dochody przewyższały bogactwa królów i monarchów, osiągając zawrotną sumę pół miliona dukatów, i który potrafił wyprawić swemu siostrzeńcowi Wawrzyńcowi ucztę weselną za 300 tysięcy dukatów. Człowiek nazywający „najukochańszym swym synem, Jakuba Fuggera, bankiera całego ówczesnego świata, polecając mu, aby pożyczony papieżowi pieniądze odbierał sobie... listami odpustowymi. Bez żadnej żenady sprzedawali bankierzy fuggerowscy wydrukowane listy odpustowe, odbierając sobie w ten sposób zaciągnięty przez papieża dług i odprowadzając jedynie część wpływów do skatuli 27-letniego Albrechta z Brandenburga, metropolity Moguncji, znanego z szerokiego gestu i hulastycznego trybu życia. Bez żadnej też żenady chwalił się publicznie dominikanin Jan Tetzl, że namawiając do kupna fuggerowskich odpustów wprowadził więcej dusz do nieba niż sam św. Piotr, którego winnicę miał ponoć niszczyć teraz niedźwiedź z wittenberskiego lasu.

Nie jest rzeczą dowiedzioną, czy doktor teologii, augustiański zakonnik Marcin Luter przybił swych 95 tez wymierzonych przeciwko odpustom na drzwiach katedry wittenberskiej w dniu 31 października 1517 roku, a więc 450 lat temu. Mógł je jedynie przesłać swemu przełożonemu, owemu metropolicie Moguncji, którego wydatki osobiste były wprost nieproporcjonalne do jego wieku. W każdym razie treść tez Lutra obiegła lotem błyskawicy całą Saksonię, a w rok później, podczas dysputy z dominikaninem Janem Ekiem, stała się własnością publiczną całego ówczesnego świata chrześcijańskiego. Po ogłoszeniu bulli papieżkiej Lutrowi nie pozostało nic innego jak zerwać z papieżem i podjąć próbę wydzwignienia Kościoła z moralnego upadku, w jakim się znalazł i ugrzązł. Rozpoczęła się epoka Wielkiej Reformacji.

Dopiero dzisiaj, w okresie ruchu ekumenicznego, dialogu międzywyznaniowego i soborowych wysiłków zmierzających do porozumienia katolicyzmu z protestantyzmem, można ocenić wielkość dzieła wittenberskiego buntownika z właściwej perspektywy czasu. Bo przecież augustiański zakonnik nie ograniczył się do zaatakowania instytucji odpustów. Prawda, że w pierwszym okresie swej działalności publicznej nie chciał zry-

wać z Rzymem, że uczynił to będąc do spalenia papieżkiej bulli przed bramami Wittenbergi niejako zmuszony. Ale Luter i luteranizm — to znacznie więcej niż sama krytyka praktyk odpustowych, ciasnego, dewocyjnego charakteru kultu religijnego i katolickiej mariologii.

Luteranizm — to przede wszystkim Biblia. Biblia pojmowana nie jako jedna z dwu lub nawet trzech podstaw doktryny religijnej — obok Tradycji i Urzędu Nauczycielskiego Kościoła (jak w rzymskim katolicyzmie), ale jako jedyny, wystarczający jej fundament i zarazem sprawdzian tej doktryny. Dla luteran ortodoksyjnych, Biblia jest jedynym wiarygodnym przekazem prawd religijnych. Wszelkie przeinaczenia, poprawki i zmiany nie mają sankcji doktrynalnej, nie są tekstami kanonicznymi i należy je odrzucić. W ciągu wieków — twierdzą luteranie — nagromadziło się w doktrynie religijnej katolicyzmu takich zniekształceń niemało. Przykładem — kult maryjny, nauka o czyśćcu, o odpustach, kult świętych, kult obrazów itd.

Nie mniej ważnym rysem doktrynalnym luteranizmu jest mistyczna koncepcja samego Kościoła, jako niewidzialnej wspólnoty żyjących z Chrystusem na

(Ciąg dalszy na str. 2)

Malarstwo Kieferlinga w krakowskich „Arkadach”

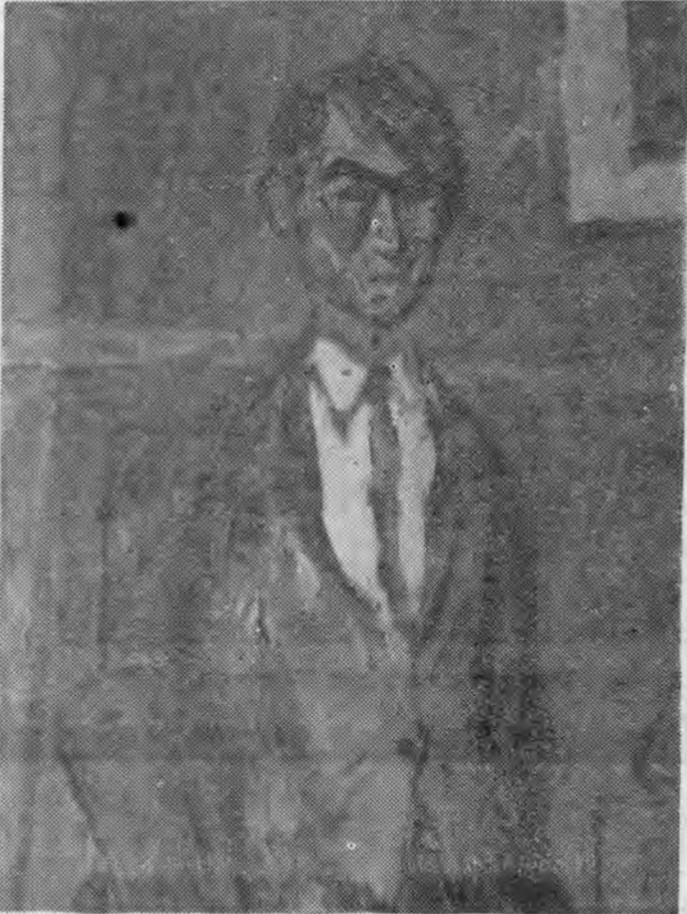
W galerii BWA „Arkady” w Krakowie czynna jest wystawa malarstwa Edwarda Kieferlinga. Warto podkreślić, że jest to druga wystawa indywidualna prac rzeszowskiego artysty w Krakowie.

22 prace Kieferlinga wystawione w krakowskiej galerii są odbiciem 10-letniej działalności i doświadczeń tego artysty w środowisku jarosławskim i rzeszowskim. Człowiek, klimat, regionalny koloryt ziemi rzeszowskiej — oto źródła inspiracji i zainteresowań artysty. Te uczuciowe związki artysty ze środowiskiem

nie trudno odczytać w wielu pracach jak: „Ikonium”, „Synagoga”, „Droga do Rzeszowa”, „Pogrzeb w Przemyslu”, „Orkiestra dęta” i „Jeleń”.

Wystawa wzbudziła duże zainteresowanie, m. in. w krakowskim środowisku artystycznym. Na otwarcie do galerii przybyli również profesorowie Akademii Sztuk Pięknych, m. in. prof. Chemiec, Rzepiński, Taranczewski i Weiman.

W pierwszym dniu wystawy dokonano zakupu dwóch prac artysty. (g)



450-lecie Reformacji

(dokończenie ze str. 1)

części. Z Chrystusem, nie z papieżem — podkreślają luteranie. Jest to wyobrażenie przeciwstawne rzymskokatolickiej koncepcji Kościoła widzialnego, ziemskiego w pełni majestatu i przepychu. Luteranizm proponuje każdemu człowiekowi indywidualny dostęp do Boga, usuwając na plan drugi wszelkich pośredników, duchownych, kapłanów, księży, biskupów itp. Z sakramentów, luteranie zachowali tylko trzy: chrzest, pokutę i komunię, przyjmowaną pod dwiema postaciami. Nie uważają jednak eucharystii za akt wyłączonego przemienienia chleba w prawdziwe ciało, a wina w krew Chrystusową, lecz wierzą — podobnie jak głośny reformator angielski, poprzednik Lutera, Jan Wilkief, że podczas podniesienia zachodzi zjawisko równoczesnego pozostawiania chleba, chlebem i ciałem Chrystusowym itp. W liberalnej teologii protestanckiej sprawa ta traktowana jest dziś zresztą rozmaicie. Kalwini widzą np. w tym akcie jedynie symbol, pamiątkę.

Niemalże znaczenie społeczne miało zniesienie przez Lutera celibatu duchownych oraz rozwiązanie zakonów. Ewangelicka szlachta polska domagała się na sejmach i sejmikach „kielicha dla świeckich i żon dla księży”, czyli przyjmowania komunii przez wiernych pod dwiema po-

staciami oraz zniesienia celibatu. Poczynania te zniweczył sobór trydencki odbyty w latach 1545—63, a u nas stłumiła je kontrreformacja w XVII wieku. Ostatnio papież, Paweł VI, w encyklice „Sacrosancti celibatus” wypowiedział się również przeciwko dalszemu podnoszeniu tej nader drażliwej kwestii.

Dla luteranina najsukcesyjniejszą, i jedyną drogą, prowadzącą do uzyskania zbawienia, pozostaje sam akt wiary. Nie dobre uczynki, nie odpusty i datki pieniężne, ale sama wiara gwarantuje — ich zdaniem — chrześcijaninowi uzyskanie łaski. „Łaska jest wszystkim, wola ludzka niczym” — dowodził w swej polemice z Erazmem z Rotterdamu, Marcin Luter. Wynika z tego założenia, że tzw. dobre uczynki mają być jedynie logicznym następstwem aktu łaski i wiary (wiara wynika zasadniczo z łaski), nie zaś jednym z równorzędnych warunków usprawiedliwienia. To „usprawiedliwienie dzięki wierze” pozostaje po dziś dzień fundamentalną zasadą luteranizmu.

Już z tych kilku przytoczonych twierdzeń doktrynalnych łatwo się zorientować, że Luter stanął na diametralnie przeciwnym biegunie niż tradycyjna teologia rzymskokatolicka. Postawił swym wystąpieniem wielki znak zapytania nad sensow-

Cecylia Błońska

Trochę szkoda, że w ogólnopolskim sympozjum, którego gospodarzem w drugim dniu swego istnienia był rzeszowski Oddział Związku Literatów Polskich, tak niewielu uczestniczyło przedstawicieli Związków Zawodowych z naszego terenu. Rozważano bowiem generalnie problem współpracy pisarzy z Centralną Radą Związków Zawodowych, z wojewódzkimi komisjami ZZ w poszczególnych województwach, ze związkami o takiej tradycji, jak ZZ Włóknarzy, Górników itp.

Plon czteroletniej współpracy określonej umową między Zarządem Głównym ZLP a CRZZ jest wcale obfity. W pozycjach literackich, które powstały w oparciu o stypendia fundowane przez związki zawodowe wyraża się on zespołem 24 książek; dalszych dwanaście złożono już w wydawnictwach. Droga związkowych konkursów wyłoniono dość głośne powieści, jak „Wiadro pełne nieba” Marii Szypowskiej, „20 batów” itp.

Nie na samym jednak bilansie skupiam uwagę, przysłuchując się obradom sympozjum. Dowodziło ono, że w woj. warszawskim, łódzkim, gdzie ruch związkowy jest szczególnie dynamiczny, kontakty wykorzystywane są z dużym pożytkiem dla całego środowiska. Tak jest również w Olsztynie: pisarze wspierani przez WKZZ potrafili zorganizować studium regionoznawcze, obejmujące historię tego regionu, jego działalność, walki o polskość, co jest szczególnie doniosłe w terenie zamieszkałym w około 80 proc. przez ludność napływową. Nie bez kozery kolejne tego rodzaju sympozjum ma się odbyć w Olsztynie, w Leśnym Domu Kultury aż w Wyknie, w Puszczy Piskiej. Osada robotników leśnych leżąca z dala od jakiegokolwiek drogi, stanowi stałe miejsce spotkań z literatami.

Właśnie pisarz z Olsztyna wychwalał — bez przesady — pod niebiosa związkowe inicjatywy Fabryki Maszyn Rolniczych w Dobrym Mieście, Zakładów w Rucianem i aktualnego potentata przemysłowego północnej części Polski — Olsztyńskiej Fabryki Opon, która mecenat nad literaturą ambitnie stawia w rzędzie zadań, podejmowanych w zaraniu swej działalności. Pozostałe jednakże głosy już bez entuzjazmu komentowały ową wieź. Większość zastrzeżeń dotyczyła ściśle finansowego zobowiązania, które zakładałoby z kolei obowiązek oddania w pisanej książce akurat spraw zainteresowanego związku — fundatora stypendium i to raczej w relacji pozytywnej. O tym mówiono się wiele, z pasją, z przekonaniem, z goryczą, kategorycznie odzegnując się od tak pojętego zobowiązania.

Ze swej strony wiceprezes Zarządu Głównego ZLP Czesław Centkiewicz, przewodnicząca Komisji Współpracy Związku Literatów z CRZZ pisarka Danuta Bieńkowska, no i oczywiście przedstawiciel Centralnej Rady Związków Zawodowych starali się zwrócić uwagę na rozleglejsze aspekty tego porozumienia.

CIEŃ MECENATU NAD LITERACKIM WARSZTATEM?

Umożliwia ono pisarzom bezpośrednie kontakty z załogami, stwarza okazje swobodnego przybywania w wybranym przez siebie zakładzie pracy, poznawania jego klimatu a także procesów produkcyjnych, co niezmiernie potrzebne jest pisarzowi nie odczuwającemu najmniejszej potrzeby czy chęci napisania czegoś, co w jakimś sensie zatrącałoby o „produkcyjniak”. Szansa wnikania w to wszystko co nieodłączne jest od pracy człowieka i bez czego jego egzystencja staje się niepełna, wydaje mi się w tej unii kapitalna.

Nie znaczy to, że można lekceważyć zastrzeżenia pisarzy, ich obawy, by cień mecenasa nie zaciążył nad warsztatem autora w sposób dominujący, deprymujący, odbierając mu to, co częstokroć dlań najistotniejsze: możliwość wymierzania sprawiedliwości światu.

W tym gorącym dialogu na temat patronatu nie brakło anegdoty, która przez wieki zdołała urosnąć wokół mecenasa i jego podopiecznego. Wspomniano nawet szeroki gest króla Stasia, bez szermowania regulującego długi (rozmaite natury) zaciągane przez swoich pisarzy.

Przedstawiciel rzeszowskiego środowiska twórczego dość szeroko opowiadał o warunkach (a raczej o braku jakiegokolwiek terminów warunkujących), na jakich otrzymał stypendium od Związku Zawodowego Chemików; wskazywał równocześnie na obiekcje, jakie — jego zdaniem — mogłaby budzić krytyczna praca literacka na temat zakładu pracy, w którym jest zatrudniony (tarnobrzeskie zagłębie siarkowe).

Nie bacząc na takie czy inne okoliczności, na to, kto wspiera finansowo pisarza w danym momencie, czytelnik bezbłędnie rozpoznaje w książce ów żar wewnętrzny, wynikający z nieprzeparłej potrzeby pisania, powiedzenia czy — określając patetycznie — wręcz obwieszczenia czegoś światu.

Jeśli pisarze mówili o tym, iż w swym dziele pragną widzieć siebie i własną kropkę krwi, której używają kreowanym postaciom, to czytelnik z kolei szuka w książce odbicia własnych losów, niepokojów, najintymniejszych konfliktów, smutków i nadziei... Swych trudów.

Nie zawsze może to odnaleźć w książce, jak nazwał Stefan Otwinowski okazjonalnej. Krakowski pisarz mądrze i głęboko mówił o dramacie kształtowania się współczesnej ekonomiki stwierdzając, że w tej dziedzinie literatura nasza nieznacznie tylko jest zaangażowana. Mamy już więc literaturę okazjonalną, najlepszą może w Europie, lecz powieści uwzględniającej problemy wynikające z pracy człowieka, bodaj kontrowersyjnej, dramatycznej jest zdecydowanie mało.

Clagle znajdujący watek tylko odbicie w literaturze współczesnej epokowy proces exodusu całego pokolenia młodych z rzeszow-

skich wsi do ośrodków miejskich, złożona gama przeżyć konfliktów, klęsk, osiągnięć, jakie niesie ze sobą, nierozzerwalnie związane są z pracą. Stąd też tarnobrzeskie zagłębie siarkowe, Nowy Mielec, Nowa Dęba i dziesiątki innych pomniejszych ośrodków nowego przemysłu na Rzeszowszczyźnie niecierpliwie czekają na swego pisarza.

I raczej w kategoriach autor-skich predestynacji, umiejętności przetwarzania obserwowanych zjawisk, w talentach selekcji wchłanianego świata szukać należy literackiego sukcesu czy też przegranej. Siusnie więc powiedział Zbigniew Bednarz, że wówczas, gdy dzieło jest udane, chwala należy się nie związkowi zawodowemu, lecz pisarzowi. Pan-cerz pisarskiego sumienia — zapewnił — nie da się skruszyć przez pomoc finansową...

Argument, do którego sięgnął z kolei przedstawiciel CRZZ, że w związkowym konkursie wyróżniono wszak powieść „20 batów”, nie oszczędzając bynajmniej niedociągnięć, błędów popełnionych w konkretnym wypadku przez związkowe ogniwa, przekonywać miał o całkowitym nieskrępowaniu autora względami mecenatu.

Nasze młode twórcze środowisko winno chyba szeroko korzystać z możliwości swobodnego wejścia do wielkich zakładów, kopalni, sztyw, hut, tkalni, PGR-ów. Miłość jako wyłączny motyw — w prozie zwłaszcza — jest dziś niesłychanie trudna. Wertherowski kochanek, flaubertowska pani Bovary oddani li tylko szaleństwom namiętności rzadko już przy fascynującej złożoności przeżyć dzisiejszego człowieka budzą dogłębne zainteresowanie czytelnika.

Szczupły zaś dorobek rzeszowskiego rynku wydawniczego znamionuje zdecydowana przewaga poezji nad prozą. Do wyrównania braku powieściowych pozycji przyczynić się może w jakimś stopniu ów nieodczony dla twórcy styk z bezpośrednio otaczającym go światem, jego problemami, z których praca stanowi czynnik dominujący.

Opiekun rzeszowskich adeptów pióra i ich dotychczasowy patron St. Otwinowski stwierdził, iż w sumie z procesu tego wynika wygrana dla literatury.

Aby tylko nie ulegać sugestii zobowiązania wobec mecenasa.

Bez obawy. Nawet z słynnego wiersza rzymskiego poety Mecenasa atavis Edite regibus O et praesidium et dulce decus meum

stosowanym zresztą dzisiaj żartobliwie w stosunku do reprezentantów palestry, od wieków pozostaje już w niepamięci postać owego tak pochlebnie opiewanego mecenasa. Ale autor pozostał...

Święta przed telewizorem

Siedem świątecznych programów całonocnych przygotowała Telewizja Polska na Boże Narodzenie i Nowy Rok.

Szklany ekran pozwoli widzom gościć u siebie najwybitniejszych aktorów sceny i filmu, ulubieńców publiczności dorosłej i młodzieżowej. Teatr Telewizji przedstawi sześć spektakli premierowych — w sobotę 23 bm., „Pastoralkę” w reżyserii Wojciecha Siemiona z ilustracją muzyczną w wykonaniu zespołu „Fistulatores et tubicinatores varsovienses”.

„Studio 63” zaprezentuje w poniedziałek 25 bm. sztukę Gabrieli Zapolskiej „Ich czworo”, w inscenizacji i reżyserii Adama Hanuszkiewicza. Teatr Komediów Współczesnej wystąpi z premierą spektaklu „Santa Claus” według tekstu i w reżyserii Janusza Majewskiego, z muzyką Andrzeja Kurylewicz. Teatr Telewizji rozpocznie nowy 1968 rok, przedstawieniem reżyserowanego przez Edwarda Dziewonowskiego widowiska „Król” Gastona de Callaveta i Roberta de Flersa.

Dla amatorów estrady i kabaretu przygotowano w sumie kilka godzin dobrej rozrywki.

Tradycyjna Noworoczna Szopka w kilka minut po północy w godzinnym programie przedstawi „Ludzi Roku”.

Obszerna jest liczba pozycji programu muzycznego, zwłaszcza muzyki popularnej, a więc np. koncert ulubieńców publiczności — Chóru Stuligrosza z Poznania, w niedzielę 24 bm. Hankę Ordonówną i jej wicelnie żywe piosenki przypomniał Jerzy Waldorf w cyklicznej audycji „Spotkanie z cieniem”, która nadana zostanie w poniedziałek 25 grudnia.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia nadany zostanie wielki świąteczny teleturniej z okazji 15-lecia telewizji pt. „Jak wam się podoba?”. W okresie świąt miłośnicy muzyki będą mogli obejrzeć 26 filmów rozrywkowych. Wśród nich m. in. film kryminalny „Strzelajcie do pianisty” z Charlesem Aznavourem, odciłek „Bonanzzy”, nową serię telewizyjną „Uciekinier”, film „Wielki wódz” z Fernandem, „Erzeczki” z Anthony Quinnem, „Legende Rudolfa Valentino”.

Andrzej Tokarczyk

Zdzisław Koziol

O PRZYRODZIE — WIEŻA BABEL

Dyrektor departamentu polecił telefonicznie, by niezwłocznie przekazano ministerstwu dane dotyczące rozmiaru erozji gleby. Jeden z pracowników Prezydium WRN powiedział mi, że w kilkudniowym terminie takiego polecenia nikt nie jest w stanie wykonać, bo jak dotąd, żaden organ administracji terenowej nie prowadzi ewidencji rejonów zagrożonych erozją wodną czy wietrzną.

— Owszem, wiemy gdzie występują lotne piaski, gdzie osuwają się zbocza gór, które potoki i rzeki niosą najwięcej mułu, ale są to tylko nasze niejako prywatne obserwacje i spostrzeżenia, nie stanowiące podstawy do uogólnień. Właściwie dostrzeżenie się tylko poważniejsze skutki, np. zniszczoną zwalami ziemi drogę czy dom, który utracił grunt pod fundamentami... A tymczasem wiatr i woda pozornie niedostrzegalnie niszczy znaczne połacie ziemi. Powinniśmy więc dokładnie poznać tereny zagrożone. Szczególnie pilną koniecznością jest zalesianie brzegów potoków i rzek powyżej projektowanych zapór wodnych, by przeciwdziałać zamulaniu zbiorników.

Mój znajomy podał mi wiele ciekawych przykładów dotyczących niszczenia gleby, którą przepisy prawa rolnego zaliczają do najcenniejszych zasobów przyrody. Niektóre jego wnioski były zbiteżne z wnioskami specjalistów w zakresie innych dyscyplin, często jakże odległych od rolnictwa czy leśnictwa. Zgodnie podkreślają potrzebę sporządzania listy strat, jakie ponosimy w wyniku nieprzemysłowej działalności gospodarczej, ceny, jaką płacimy za odniesione sukcesy w innych dziedzinach. Z reguły jednak każdy wyraża punkt widzenia swojej specjalności, broni interesów branży, w której pracuje.

I tak np. przemysł drzewny widzi w bieszczadzkich lasach bogatą bazę surowcową, a koryta potoków i góry są rzekomo niewyczerpalnym źródłem budulca potrzebnego drogowncom. Nie musimy chyba dodawać, że przemysł drzewny stanowi ważną dziedzinę gospodarki narodowej, drogi zaś są wstępnym warunkiem gospodarczej aktywizacji tego regionu. Przedstawiciele innych dyscyplin interesują np. nie kamieniołomy, lecz krajobraz naturalny, które one szpecą. O tej samej sprawie mówimy różnymi językami; istnia wieża Babel...

Sprzyja temu kampanijność przedsięwzięć: raz na porządku dnia stoi woda, gdyż rzekami spłynęły martwe ryby, to znów lasy, bo stwierdzono, że zanieczyszczone powietrze niszczy drzewostan w promieniu wielu kilometrów. Teraz mówi się o glebie, którą zmywa woda i znosi wiatr, a inwestorzy upodobili sobie pod zabudowę co urodzajniejsze łany. Rozsądniejsi nawołują do kompromisu, ale jak osiągnąć kompromis, skoro partnerów jest bez liku, a każdy gotowy jest uznać swój punkt widzenia za najważniejszy.

W naukowej i popularnej literaturze, traktującej o ochronie przyrody i jej zasobów, dostrzegam jakby dwa nurty. Podkreśla się negatywne skutki industrializacji i urbanizacji, których ukoronowaniem są choroby wieku cywilizacji, łącznie ze schorzeniami nerwowymi i nowotworami; mówi się także nie bez uzasadnionej dumy o polskich doświadczeniach w zakresie przewycięzania konfliktu między człowiekiem i przyrodą, o udziale Polski w międzynarodowych organizacjach ochrony przyrody.

W sumie jest to skomplikowana problematyka, daleko wykraczająca poza utarte wyobrażenia o ochronie przyrody. Dość powiedzieć, że w Polsce Ludowej wydano wiele aktów normatywnych z słynną ustawą z 7 kwietnia 1949 r., która — jak twierdzą specjaliści — jest odzwierciedleniem najnowszych i najbardziej postępowych kierunków naukowych stanowi próbę rozwiązania całokształtu spraw związanych z ustosunkowaniem się człowieka do przyrody. Oprócz licznych zarządzeń i rozporządzeń wykonawczych, odnotujmy jeszcze prawo wodne, ustawę o ochronie powietrza atmosferycznego czy uchwałę Rady Ministrów w sprawie ochrony użytków rolnych. Nie wnikając w szczegóły, warto dodać, że zdaniem niektórych komentatorów, ta mnogość różnorodnych przepisów, utrudnia niekiedy realizację słusznych postanowień.

Zainteresowanych odsyłam do wznowionej niedawno pracy dra Jana J. Nowaka — „Prawo i organizacja ochrony przyrody w Polsce”. Zanim zaś przejdą do niektórych zagadnień praktycznych, wspomnę, że działalność w zakresie ochrony przyrody idzie u nas dwoma torami: podejmują ją organa państwowe oraz organizacje społeczne. Poszczególni partnerzy powinni się wzajemnie uzupełniać, ale jakże często wzajemnie o sobie nie wiedzą. Przynajmniej na tzw. szczeblu wojewódzkim i niższym.

Już nie raz pisałem o wyjątkowych walorach przyrody w Rzeszowskim; pisałem również o ciekawych inicjatywach społecznych i oficjalnych, m. in. o pozostającym od przeszło 15 lat w sferze projektów, Bieszczadzkim Parku Narodowym, o pionierskim planie przestrzennego zagospodarowania ziem górskich, działalności Ligi Ochrony Przyrody, a także o zagrożeniu rzek czy o ubocznych skutkach powstania nowych działów przemysłu. Wykonując obowiązki dziennikarski, spotykałem się z przedstawicielami różnych zawodów, z ludźmi pełniącymi różne funkcje społeczne. Te kontakty upowładniają mnie do twierdzenia, że brakuje nie tylko koordynacji, lecz często także zrozumienia między partnerami.

Pytałem np. działaczy LOP o ich sojuszników. Z wyjątkiem jednego, nikt nawet słowem nie wspomniał o Wojewódzkim Komitecie Ochrony Przyrody, będącym ciałem doradczym i opiniodawczym wykonawczych organów państwowych. Komitet ten opiniuje wnioski, które przedkłada Wojewódzki Konserwator Przyrody, ale chyba nie będzie krzywdzącym dla jego członków, składających się z cenionych działaczy społecznych, jeśli napiszę, że nie stworzyli forum, na którym podejmowano by istotne problemy, inicjowano akcje wykraczające poza doraźne potrzeby konserwatorskie. WKOP jest mało znany; może dlatego nie cieszy się niezbędnym autorytetem.



Fot. M. KOPEĆ

Przyczyn tego stanu dopatrują się m. in. w przepisach prawnych określających tryb powoływania i zakres kompetencji komitetów. Utworzono je przed kilkunastu laty, gdy interesująca nas problematyka — z wyjątkiem nielicznych grup miłośników przyrody — była raczej obca ówczesnym działaczom terenowym. Jeden z punktów rozporządzenia Ministra Leśnictwa mówi, że do zadań komitetów należy „współdziałanie z instytucjami naukowymi i organizacjami społecznymi i zawodowymi w sprawach ochrony przyrody”. To merytorycznie najważniejsze postanowienie jest chyba tylko formalnie realizowane. Przede wszystkim w skład Komitetu nie wchodzi przedstawiciele instytucji czy organizacji, które w chwili wydania wspomnianego rozporządzenia albo jeszcze nie istniały, albo ich działalność nie miała takiego zasięgu jak obecnie. Myślę o służbie wodnej i ochrony powietrza, pracowniach planów regionalnych, służbie geologicznej itp. A czy członkowie komitetów mają swe funkcje pełnić dożywno? Nie ma bowiem przepisu określającego tryb ich odwoływania. Postanowienia wydane przed kilkunastu laty nie w każdym wypadku odpowiadają aktualnym potrzebom.

Chociaż przybywa młodych specjalistów, którzy na swój sposób zajmują się gospodarowaniem zasobami przyrody, społeczny ruch jej ochrony cierpi na brak młodych działaczy. Poza nielicznymi wyjątkami są to ludzie starsi, na pewno godni szacunku za swoją pracę społeczną, ale nie zawsze dostrzegają oni wymogi dnia dzisiejszego.

w szkołach, a zwłaszcza na uczelniach technicznych. A idea ta fascynuje, urzeka tych, którzy jej sens pojęli.

Przykładem może być chociażby koło LOP w rzeszowskiej WSK skupiające kilkuset członków, głównie robotników. Poza tradycyjnymi już akcjami, jak sadzenie drzew czy dokarmianie ptaków, koło to zdobyło popularność organizowaniem wycieczek na tzw. łonie natury. Ostatnio wkrocza także Liga do wielkoprzemysłowych przedsiębiorstw Stalowej Woli i Mielca, potwierdzając regułę, że początek daje nieliczna grupa aktywistów lub nawet pojedynczo działająca entuzjasta, ale konieczna jest pomoc uznanych w przedsiębiorstwie czynników. Czy tych kilka aktywnie działających kół LOP w przemyśle oznacza przełamanie złej passy? Chyba jeszcze za wcześnie na odpowiedź twierdzącą, ale jedno jest pewne: wzrasta popularność organizacji i towarzysów, które ułatwiają ludziom kontakt z przyrodą.

Myślę o PTTK, PZŁ, czy PZW. Te organizacje są najaktywniejszymi partnerami LOP, wzajemnie się na wielu odcinkach uzupełniając. To nie przypadek, że np. sekcje ochrony przyrody i ochrony zabytków wspólnie podejmują niektóre zadania, chociaż formalnie zakres ich kompetencji jest różny. W tych kręgach dyskutowano m. in. o potrzebie ochrony krajobrazu, zachowania zabytków architektury i zabytków przyrody jako atrakcji turystycznych, spełniających zarazem ważną rolę wychowawczą i kształcącą. Na tym forum polonista, podnoszący walory estetyczne przyrody czy biolog żalący się nad zanikającą w starorzeczu Sanu kotewką, znajdują wspólny język z racjonalnie myślącym inżynierem.

Rola czynników społecznych jest rzeczywiście duża, ale żaden z nich, nawet najaktywniejszy zarząd LOP czy PTTK, nie sprosta pilnemu zadaniu, jakim jest koordynacja rozproszonych poczynań. Koordynatorem muszą być organa państwowe, dlatego właśnie tyle uwagi poświęciłem WKOP, dlatego cytowałem punkt rozporządzenia ministra leśnictwa o współdziałaniu z instytucjami naukowymi, organizacjami społecznymi i zawodowymi. Organ ten, mający oparcie w literze prawa i szerokim zapleczu społecznym, może podejmować istotne, węzłowe problemy, mobilizując społeczne i instytucjonalne siły, by w mieście wieży Babel w dziedzinie ochrony przyrody, stworzyć jednolity front troszczących się o otoczenie człowieka, o powietrze, którym oddycha, wodę, którą pije, glebę, lasy, parki...

„Stabat Mater” Szymanowskiego w Paryżu i Rotterdamie

Jedno z największych dzieł oratoryjnych w muzyce polskiej — „Stabat Mater” Szymanowskiego doczekało się ostatnio dwóch wykonań na zagranicznych estradach. Polscy soliści — Stefania Woytowicz (sopran), Krystyna Szostek-Radkova (mezzosopran) i Andrzej Hiolski (baryton) wykonali ten utwór w Paryżu z towarzyszeniem Orkiestry Narodowej Radia i Telewizji Francuskiej pod dyrekcją Witolda Rowickiego. Ci sami artyści wykonali „Stabat Mater” w Rotterdamie z towarzyszeniem jednej z orkiestr holenderskich.

W obu miastach dzieło Szymanowskiego spotkało się z gorącym przyjęciem.

Antologia polskiej prozy współczesnej w Meksyku

W Meksyku wyszła ostatnio „Antologia polskiej prozy współczesnej” w tłumaczeniu i układzie pisarza meksykańskiego Sergio Pitola. S. Pitol znany jest w Polsce z książki „Każdy ze swoim piekłem”.

W antologii, która według zamysłu autora „ukazać ma panoramę współczesnej literatury polskiej”, znalazły się m. in. opowiadania lub fragmenty prozy: Jerzego Andrzejewskiego, Tadeusza Borowskiego, Kazimierza Brandysa, Marii Dąbrowskiej, Stanisława Dygata, Jarosława Iwaszkiewicza, Sławomira Mrożka, Zofii Nałkowskiej, Jana Parandowskiego, Tadeusza Różewicza, Adolfa Rudnickiego.



Na zdjęciu: dwoje głównych bohaterów granej obecnie w teatrze im. Wandy Siemaszkowej „Irkuckiej historii” Aleksiego Arbuzowa: Wala — Wiesława Bojadżijew i Wiktor — Tadeusz Pokrzywko.
Fot. FR. MYSZKOWSKI

Rzeszów przed pierwszą wojną światową

Pojawiła się ostatnio nowa książka o przeszłości Rzeszowa, napisana przez znanego z licznych prac tutejszego historyka, dra Aleksandra Codellę. Książka tym ciekawsza, że obejmuje okres rzadko dotąd uwzględniany przez historyków poszczególnych miast i słabo jeszcze poznany. Zarówno monografia J. Peckowskiego z r. 1913, jak i wydane w 1958 r. zbiorowe opracowanie pt. „Pięć wieków miasta Rzeszowa”, obejmowały dzieje miasta tylko do XVIII w. włącznie. Cały więc okres porzoborowy oraz lata od I wojny światowej czekały na swego historyka. Lukę tę wypełnia częściowo praca Codelli, obejmująca bardzo ciekawy okres historii Rzeszowa, mianowicie jego przeobrażeń na miasto nowoczesne. Niemniej jednak pozostają jeszcze do opracowania okresy od końca XVIII w. do roku 1867, oraz od 1914 r. po czasy najnowsze, które oby znalazły równie sumiennego historyka, jak omawiana praca.

Początek samorządu Rzeszowa datuje się od wyborów do rady miejskiej, odbytych w lutym 1867 roku. W wyborach nie brali wówczas udziału wszyscy obywatele, lecz opłacający podatki bezpośrednio oraz posiadający wyższe wykształcenie. Te pierwsze wybory, sprawy ustrojowe samorządu, wprowadzanie tegoż w życie, sylwetki i działalność burmistrzów i cały kompleks zagadnień związanych z funkcjonowaniem samorządu miejskiego omawia autor w pierwszym rozdziale. Jest to wnikliwa analiza oparta na różnych materiałach, przede wszystkim zaś na protokołach rady miejskiej, które zresztą stanowią zasadniczą podstawę źródłową również przy omawianiu innych zagadnień w następnych rozdziałach pracy. Z kolei omawia autor inwestycje i związane z nimi sprawy budżetowe, jak niedobory, kontrole, dochody miasta. Przeobrażenie się niewielkiego w XIX w. Rzeszowa w bardziej nowoczesne miasto wymagało budowy szkół, cegielni, gazowni, elektrowni, wodociągów, koszar, szpitala oraz innych budowli i urzędów. Autor omawia szczegółowo te sprawy, tak istotne w życiu ówczesnego miasta, i przywołuje na karty swej książki ludzi inicjujących i realizujących uchwały, tarcia na tym tle i trudności z tym związane.

Codello stara się przedstawić gospodarkę samorządu rzeszowskiego na tle stosunków gospodarczych Galicji oraz stosunku władz centralnych monarchii habsburskiej do tej zaniebanej jej prowincji. Czytamy więc o konkurencji wyrobów austriackich i czeskich dla miejscowego rzemiosła, o penetracji obcego kapitału, o ciężącym na mieście obowiązku budowy koszar. Czytelnik otrzymuje dokładne omówienie zagadnień gospodarczych, jak rzemiosło, han-

del, komunikacja, oraz wiele szczegółowych danych o początkach kolei, oświetleniu miasta, pojawieniu się pierwszych motorów w Rzeszowie, o stosunkach zdrowotnych i o wielu innych interesujących zmianach i przeobrażeniach. Ciekawe są również wiadomości o stanowisku rady miejskiej i zarządu miejskiego wobec władz austriackich w związku z manifestacjami patriotycznymi.

Osobny rozdział poświęcony jest sprawie obszarów miasta i ludności. Rozwój miasta powodował urbanizację gmin podmiejskich, powstawały sprawy sporne, zakończone przyłączeniem Ruskiej Wsi i przysiółków Staroniwy i Drabinianki do obszaru miejskiego. Z tym łączyło się zagadnienie regulacji ulic i ich nazewnictwa, zabudowy nowych terenów, niebezpieczeństwa pożarów, zakładania zieleńców oraz tych wszystkich spraw, które leżały w kompetencji samorządu miejskiego.

Autor nie poprzestaje jednak na omówieniu spraw związanych z działalnością rady miejskiej i magistratu. Przeprowadza charakterystykę ludności miasta i zachodzących zmian demograficznych oraz omawia życie organizacyjne i kulturalne w mieście. Otrzymujemy więc wiadomości o instytucjach dobroczynnych, organizacjach robotniczych, drukarniach, bibliotekach, prasie lokalnej, uroczystościach narodowych, wykładach uniwersyteckich, organizacjach oświatowo-kulturalnych, życiu teatralnym i muzycznym, zabawach, sporcie. Dzięki tak szerokiemu potraktowaniu życia Rzeszowa, tytuł pracy mógł śmiało brzmieć „Rzeszów w okresie samorządu 1867—1914”.

Książka ta zaopatrzona jest w liczne tabele statystyczne i wykazy, w indeks osób oraz w 30, przeważnie dawnych, zdjęć fotograficznych, ilustrujących budowę i fragmenty miasta w omawianym okresie. Przydałyby się jeszcze i plan Rzeszowa pokazujący czytelnikowi rozwój zabudowy i rozmieszczenie ważniejszych obiektów.

Praca Codelli wzbogaca wydatnie historiografię miast b. Galicji. Może ona służyć za wzór wnikliwej analizy życia miasta galicyjskiego w omawianym półwieczu przed I wojną. Miejmy nadzieję, że zachęci ona historyków regionalnych do podjęcia podobnych prac o innych miastach. Historycy ci raczej stroniли dotąd od tego rodzaju tematów, wskutek czego niejednokrotnie więcej wiemy o dziejach miast Rzeszowszczyzny w dawnych czasach, aniżeli w wiekach XIX i XX. Ten ostatni zaś okres, jako bliższy naszym czasom, nie mniej zaciekawia obecnego czytelnika.

ADAM FASTNACHT

* A. Codello: Samorząd miasta Rzeszowa 1867—1914. Wyd. Lubelskie 1967, s. 149, nb 3.

Kalejdoskop kulturalny

Teatr po trzydziestu latach

Przed trzydziestu laty dziennik „Czas” przeprowadził ankietę wśród głośniejszych artystów na temat „Jakim powinien być teatr?” Oto niektóre wypowiedzi naszych najwybitniejszych reżyserów i aktorów, z których jedne nie straciły zupełnie na aktualności, inne zaś rzucają światło na teatr z tamtego okresu.

Karol Adwentowicz: „Pragnąłbym teatru, który by nie był teatrem dla ekskluzywnej garstki obojętnych snobów, ale teatru, który by ścigał szerokie — jak najszersze masy, masy i jeszcze raz masy”.

Leon Schiller: „Chciałbym, by teatr tak był społeczeństwu potrzebny i tak dlań pożyteczny, jak powietrze, chleb i woda; by budził świadomość zbiorową, by sądził sumienia, poruszał „serce miliony”...

Ludwik Solski: „Pęd do ukazywania na scenie „surowego nagiego życia” mija, widz pragnie o okrucieństwie tego życia choć na chwilę zapomnieć, choć na chwilę uwierzyć w dobro, piękno i sprawiedliwość”.

Stefan Jaracz najostreżniej i najdobitniej ocenia teatr lat trzydziestych: „Teatr w Polsce pozostaje w stanie takiego beznadziejnego chaosu, że nie widzę absolutnie żadnego sposobu, który by mógł na to zarządzić”.

Dla eskalacji sumienia

V jak Vietnam — to nowa sztuka Armanda Gatti, napisana na zamówienie Międzynarodowej Federacji Uniwersyteckiej, działającej na rzecz pokoju w Wietnamie. Sztuka, której intencją jest „eskalacja sumienia i świadomości społecznej w odpowiedzi na eskalację agresji”, została wystawiona najpierw w Tuluzie, a obecnie wchodzi na scenę jednego z teatrów w Paryżu.

Wojna i psychika

W Anglii odbyła się premiera sztuki Charlesa Wooda pt. **Dingo**. Jest to rzecz o okrucieństwach wojny. W pierwszej części bohaterowie Dingo i Mogg, siedząc w okopach na pustyni, snują fantazje seksualne, wszystkich zaś niepożrebnych przybyszów kierują na pobliskie pola minowe. W drugiej części trafiają do niemieckiego obozu jenieckiego. Tutaj Mogg zatracą poczucie człowieczeństwa i zaczyna

wierzyć, że jedynym sposobem na utrzymanie morale podwładnych jest skrajne okrucieństwo. Sztuka Wooda ma wielką siłę oddziaływania. Nie uzyskała jednak zezwolenia cenzora na wystawienie na dużej scenie National Theatre, dla szerokiej publiczności.

Naprawdę?

W ostatnim wywiadzie udzielonym przez A. Scibora-Rybskiego, pisarz stwierdza ubóstwo wątków miłosnych w polskich filmach. „Przyczyn tych — mówi autor i reżyser — należy szukać w naszych modelach kulturowych, w tradycji literackiej. Polska sztuka nigdy się nie interesowała kobietą jako taką, interesowała ją tylko matka-Polka i Polka-naręczona; obydwie czekały na żołnierza, który wróci z wojny”.

Filmy polskie dla koneserów

Na filmy polskie w Wielkiej Brytanii chodzi, oprócz Polaków, publiczność wybredna. Liczy się zdanie dwóch pań: Dilys Powell z „Sunday Timesa” i Penelope Gilliatt z „Observera”. Na szczęście obie są filmowi polskiemu przychylnie. Całkowitą prawie wyłączność rozprowadzania polskich filmów zdobyło sobie przedsiębiorstwo Contemporary Films. Największym powodzeniem cieszyli się „Krzyżacy”, ale salę w ogromnej większości wypełniali Polacy. Natomiast sukces Wajdy „Kanału”, „Popiołu i diamentu” i „Niewinnych czarodziejów” dotyczył widzów autentycznie brytyjskiej. Nowoczesna błyskotliwość Skolimowskiego, połączona z prywatnym tonem jego twórczości, podobna się najbardziej młodym kinowym entuzjastom, i to takim, których Polska nigdy specjalnie nie interesowała. Skolimowski jest pierwszym filmowcem, którego brytyjski sukces nie ma nic wspólnego z faktem jego polskości.

Poezja wyszła na ulice

Poeta chilijski, Pablo Neruda, otrzymał niedawno wielką nagrodę literacką: „Viareggio” w Rzymie. Z tej okazji oświadczył: „Społeczeństwo nie odrzuca poezji, ale dziś poezja nie jest tylko czytana, ale przede wszystkim słuchana. W moim kraju, kiedy po raz pierwszy recytowałem publicznie moje wiersze, słuchało ich 10 000 ludzi. Dziś

poezja opuściła strony książek i wyszła na ulice”.

Cytat

„Dobra telewizja to nie taka, która daje wszystko, z dostawą do domu, ale która pobudza i nakierowuje samodzielne zainteresowania widzów. Dobra telewizja to taka, która każe wyjść z domu i szukać w księgarni dobrej książki, w teatrze — ulubionego aktora, w kinie — dobrych filmów. Telewizja nie może dać wszystkiego swoim odbiorcom, ale powinna starać się na wszystko nakierować uwagę widza, pobudzając jego samodzielne zainteresowania” — powiedział — i zdaje się bardzo słusznie — Krzysztof Teodor Toeplitz w wywiadzie dla „Miesięcznika Literackiego”.

Gdzie są polskie sztuki współczesne?

Rzut oka na tytuły sztuk znajdujących się w próbach w listopadzie w teatrach pozawarszawskich uświadamia, że w planach bieżących teatrów znajduje się mało sztuk współczesnych z repertuaru światowego, a jeszcze mniej sztuk współczesnych polskich.

Jedynie Toruń przygotowuje współczesną sztukę pisarza czeskiego M. Kundery pt. „Klucze”. Teatr im. Węgierki w Białymstoku sztukę amerykańską S. Wincelberga „Kataki” (historia dwóch żołnierzy: amerykańskiego i japońskiego, którzy spotykają się w dżungli i nie wiedzą, że wojna dawno się skończyła). W Łodzi Teatr im. Jaracza próbuje kryminał francuski R. Thomasa — „Mordercy stowarzyszeni”, a Państwowy Teatr Nowy wystawi młodzieżowy western J. Makarinsa „Trzy białe strzały”.

Natomiast z polskich sztuk współczesnych tylko Teatr Wybrzeża w Gdańsku próbuje „Poczwórka” S. Mrożka, a Teatr im. Żeromskiego w Kielcach „Kosmogonię” Iwaszkiewicza. Dwie sztuki współczesne polskie to niewiele, bo przecież nie można uważać chyba za sztukę współczesną „Pana Wokulskiego” w adaptacji A. Hanuszkiewicza ani skądinąd może ciekawą sztukę — znaleźisko Radziwiłłowej z XVII wieku pt. „Niecnota w siłach”.

Zebrała M. S.

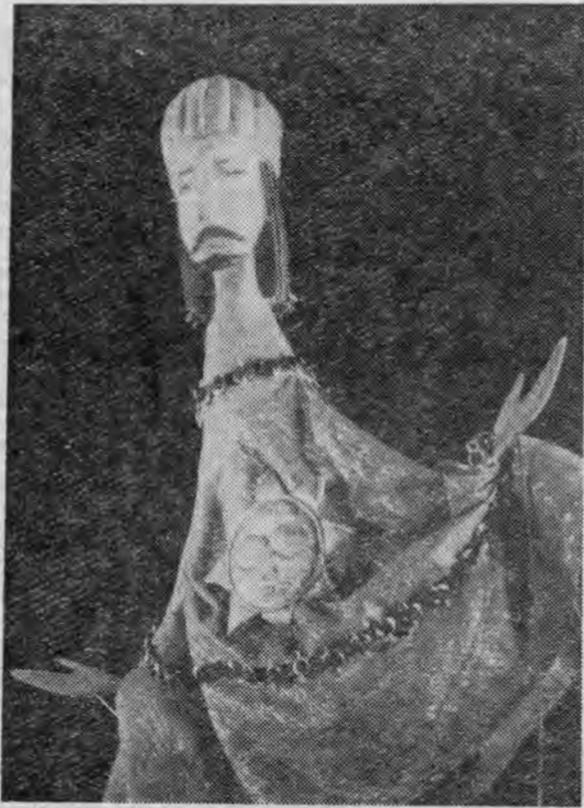


Maria Barszczak z Muzeum Okręgowego w Rzeszowie rekonstruuje naczynie ceramiczne.

Fot. M. Kopeć

Krystyna Świerczewska

PRZEDSZKOLE



DOBRYCH GUSTÓW

Czternastolecie istnienia; dziesięciolecie działalności na terenie Rzeszowa — w tym pięcioletnie pod egidą placówki państwowej — oto najkrótszy życiorys Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Kacperka”. Zaraz dodajmy — teatru skromnego, pracowicie składającego premię do premiery na koncie przyjaźni z najmłodszym widzom, szukającego tego widza po najodleglejszych kątach województwa, teatru pełniącego rolę przedszkola w długiej drodze kształcenia smaku rzeczywistego koniesera sztuki scenicznej. Teatru skromnego, powtórzmy, bo nie ma w nim galowych premier, bo często odbywają się one tam, gdzie żaden z teatrów nie jest w stanie dotrzeć, bo bazującego na prostym, niewyszukanym repertuarze, zawsze uwzględniającym elementy pedagogiki.

Mało zna go miasto — Rzeszów, bo czymże była w ciągu ubiegłego roku owa ponad 15-tysięczna widownia wobec 135 tysięcy widzów z terenu w tym samym okresie? „Kacperka” grywa bowiem zawsze w wypożyczonych salach, zawsze dostosowuje się do warunków przez kontrahenta wyznaczonych; jest więc teatrem wędrującym, któremu, niestety, wcale szybko nie grozi żadna, nawet mała stabilizacja. I pewnie dlatego jego aktorzy więcej czasu spędzają w autokarze aniżeli na scenie.

Wędrują sobie tedy przez 30 dni w miesiąc, udają, że zimno, upały, roztopy — to ich chleb powszedni, dopasowują dekoracje do warunków, ba, odrzucają nawet dekoracje, gdy żadnych warunków nie ma, ale grają.

Po małych ekranikach skaczą kukielki — za małymi ekranikami aktorzy przesuwają się na kolanach z miejsca na miejsce, pamiętając przy tym o sznurku poruszającym lalkę i tekście przez lalkę mówionym. Wdrożeni w tę zdwojoną koncentrację, kto wie, czy sami dziś zdają sobie sprawę z inności swojej pracy aktorskiej. Istnieje w niej przecież wyraźna anonimowość, połączenie elementu ruchu i głosu, martwej lalki z techniką żywego aktora, jakieś momenty idealnych pożyczek własnych umiejętności zlepki dekoracyjnych szmatek, które pozor-

nie nic nie zwracając, w sumie tworzą ostateczny kształt spektaklu harmonijnego; zasługującego właśnie w tym zgraniu na uznanie.

Jest w Polsce takich teatrów 25, a więc wcale niemało; ileż z nich znamy bodaj z nazwy jako znakomite? Bardzo niewiele — może dwa, trzy, może pięć, a w tej piątce jeden, który od lat przoduje i zdążył zafrapować wyobraźnię dorosłego widza — krakowską „Grotkę”. Któż bowiem nie pamięta latami tam grywanych „Igraszek z diabłem”, „Cyrku Tarabumba”, „Gdyby Adam był Polakiem” czy Mrozkowego „Męczeństwa Piotra Oheya”? Gdyby się zastanowić, co pracowało na sławę „Grotki”, to najpierw przyjdzie mi wymienić właśnie jego znakomity repertuar, tak adekwatnie przylegający do możliwości teatru lalkowego, gdzie kukła nie powinna być mechanicznym uosobieniem postaci, lecz wielowarstwową przenośnią, pozwalającą na odręyserski komentarz, na wieloznaczność interpretacji, na wydobycie najpełniejszego sensu sztuki. Dopiero tak widziany Teatr Lalki i Aktora dozwala na trawestację większości sztuk dramatycznych, na swobodne poruszanie się w każdym wartościowym repertuarze. Stało się to jednak przywilejem bardzo niewielu teatrów lalkowych powtarzam i, niestety, nie one — te najznakomitsze wyznaczają drogę reszcie z polskiej dwudziestki piątki. „Grotka” dysponuje bowiem aktorem i doświadczeniem zupełnie wyjątkowym.

Reszta zaś w przeważającej mierze rodziła się w warunkach skrajnego amatorstwa i właściwie dochodząc do miana teatrów państwowych, które oficjalnie przekreśla amatorstwo, wiele z amatorstwa jednak zachowała. Jak się bowiem ten proces odbywał? — Po prostu co zdolniejsi amatorzy z kilkuletnim stażem zdawali egzaminy przed komisjami przy Państwowych Wyższych Szkołach Teatralnych, uzyskując dyplomy aktora zawodowego. Dopiero bieżący rok przyniósł pewne novum w tej dziedzinie, czyli Państwowe Studium Lalkarskie we Wrocławiu, pomyślane jako 3-letnia szkoła kształcąca zawodowego aktora-lalkarza. Teore-

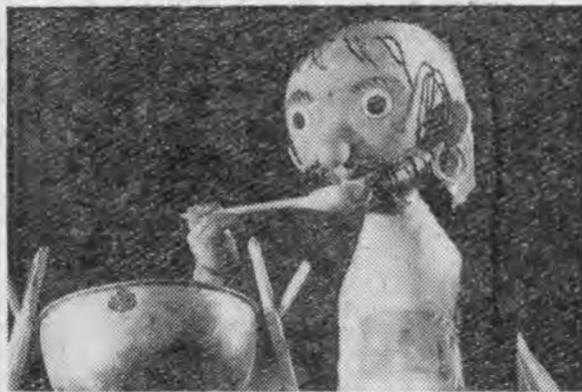
tycznie pomysł utworzenia studium wydaje się znakomity; praktyka wygląda jednak nieco mniej radośnie, gdyż przyjmowani są na aktorzy najlepsi, już pracujący w teatrach. Teatry więc, zapewniając sobie za lat trzy zawodowca z dyplomem, jednocześnie przez lat trzy rezerwują dlań etat i przez lat trzy eksploatują w dwójnasób tych, co egzaminy kiedyś już zdali, lub tych, którzy jako nie najzdolniejsi — do studium lalkarskiego się nie nadają.

Przenosząc się tedy na forum „Kacperka”; z pracującej tu trzynastki aktorów, ośmioro jest po egzaminie, pięcioro zaś — to świeży adept sztuki lalkarskiej. Może i któryś z nich dobrnąby do dyplomu na studium wrocławskim; czy jednak teatr może pozwolić sobie na pięć zajętych etatów przez drogich nieobecnych? Teatr tak ustawiony w pracy, że równolegle zatrudnia w objęciu dwa małe zespoły, uformowane z i tak szczupłego ensemblu? Rzecz więc przekracza granice dobrego eksperymentu nawet i sytuacja przed amatorską piątką pozostaje bez perspektyw: na studium nie pojadą — komisje przy PWST z chwilą jego otwarcia automatycznie działać przestają.

Pozostaje więc satysfakcja. Ze 150-tysięcznej widowni w roku, z paruset objazdów teren województwa, z polskich złotych, które te objazdy jednak przy-

rzucają w kieszenie młodym ludziom i z ambicji, będącej podstawą każdej dobrej pracy.

Widziałam piętnastą premię po upaństwowieniu „Kacperka” — a więc też po trosze jubileuszową, na jednym z takich objazdów właśnie. Wystawił w brzozowskim PDK dwa



spektakle „Sierotki Marysi i krasnoludków” w opracowaniu dyrektora i kierownika artystycznego teatru Marii Siedmiograj, w reżyserii Stefana Stojakowskiego, w opracowaniu scenograficznym Jerzego Szymańskiego, muzycznym — Zbigniewa Jeżewskiego. Dwa spektakle trwały około trzech godzin; tyleż trwało ustawienie i później likwidacja dekoracji; tyleż przynajmniej zajęła droga do Brzozowa. W sali rozsiadły się dzieci z paru szkół, w tym ze szkoły specjalnej dla upośledzonych; w sali siedziało się w płaszczach; trzaskały krzesła. A była to podobno znakomita sala, dobra widownia i znakomite warunki odbioru! Na scenie zmieściły się bowiem swobodnie dekoracje, młodocieni widzowie nie strzelali cukierkami do kukielek, elektrownia nie wyłączyła prądu, działwa cudownie reagowała, chóralskie zapewniając, że jest szczęśliwa z przyjazdu gości.

Ktoś jednak, kto jak ja nie bywa zbyt często na spektaklach „Kacperka” — jeszcze raz musi podkreślić wysiłek aktora pracującego wśród dzieci. To jest wdzięczna widownia na pewno; ale na pewno to jest widownia ruchliwa, ucząca się dopiero koncentracji uwagi, reagująca spontanicznie, słowem — nie bezzmerowa. Tę widownię trzeba niejednokrotnie przekrzyknąć.

Trzeba spaść na nią każdą pointą zdecydowanie; opanować, ujarzmić, podporządkować scenicznemu działaniu. Trzeba do niej aktora wybornego, z dykcją wspaniałą, głosem jak dzwon. I tu właśnie zawodzi wielu młodych aktorów „Kacperka”. „Sierotka Marysia” wyreżyserowana na opowieść przede wszystkim o pracowitym Skrobku i krasnolowych perypetiach miała tegoż Skrobka bardzo dobrego, z krasnolami — Koszałek Opalek radził sobie znakomicie; z resztą różnie bywało w sali o niedobrej akustyce. Było w tej baśni wiele realizmu, była przejrzysta pochwała pracy, uczciwości i był piękny moment bajkowy z królową Tatrą. Były też śliczne kukielki, z zupełnie uroczymi skrzypkami, — żuczkami. I był moment najwycyzajniejszego znikania elementu dekoracyjnego, czyli dwóch dzbanów, który to moment dwaj siedmiolatki uznały za najbardziej baśniowy. Kładąc się niemal na moich ramionach, szeptały chichocząc:

— Patrz, garnki same uciekają...

Wtedy odżyła we mnie jeszcze jedna anegdota, stara anegdota związana z czasami amatorskiego „Kacperka” i jego objazdem po zapadłych kątach powiatu jarosławskiego we wczesnych latach 50-tych, anegdota może mniej niewinna w słowie, za to manifestująca zaurczenie teatrem; anegdota, którą opowiem.

Grano wtedy „Królowę Śnieżkę” i w pierwszym rzędzie siedział stary, spracowany człowiek, oparty na lasce. Wpatrzony w scenę, postukiwał tą laską w chwilach napięcia. Kiedy zaś doszło do wręczania przez starą królową zatrutego jabłka Śnieżce — nie wytrzymał i groźnie, ostrzegająco zasyczał:

— Nie bierrr!
Wzięła jednak.

Tedy nasz widz się podniósł i wygrażając kijem starej królowej, zrozpaczony, rzecz skomentował:

— Otrułaś ją stara... — i tu padł epitet, od którego sala zatrzęsała się ze śmiechu...

Zdarzają się i dziś takie wsie, gdzie „Kacperka” jest pierwszym wysłannikiem teatralnego świata. Zdarzają się i dziś sale, kiedy się gra przy świecach, bo nią ma jeszcze elektryczności, zdarzają się i dziś drogi, po których z trudem wlecze się autokar.

Warto więc oglądać spektakle „Kacperka” właśnie w kontekście z taką rzeczywistością.

Tak zresztą jak warto przełamać opinię, że jest to teatr wyłączny dla dzieci. Wystawiona niedawno adaptacja puszkinowska „Rusłana i Ludmiła” w reżyserii Marii Siedmiograj, z odbiegającymi od stereotypów pięknymi kuklami Jerzego Szymańskiego, przeznaczona jest bowiem dla widza bardziej dojrzałego. Wchodząca zaś w studium prób kukielkowych wersją poematów Garcii Lorki będzie wyraźnie już adresowana do widza o wyrobionym smaku artystycznym. Zdaje mi się, i warto to na zakończenie podkreślić, że Teatr Lalki i Aktora powinien dać poznać się środowisku rzeczowskiemu właśnie poprzez ambitny repertuar i przynajmniej raz w sezonie wyjść z pozycji, której nie będzie można przyrzeczyć jako zjawiska artystycznego.

Szkolnictwo w cyfrach

Wzrasta aktywność wydawnicza Głównego Urzędu Statystycznego, którego publikacje cieszą się coraz większą popularnością wśród szerokiego kręgu odbiorców. Poza „Małym Rocznikiem Statystycznym” oraz „Rocznikiem Statystycznym” na szczególną uwagę zasługują seria „roczników branżowych”, prezentująca dane dotyczące poszczególnych działów gospodarki narodowej. W tej serii ukazała się blisko 600-stronicowa książka pt. „Rocznik Statystyczny Szkolnictwa”, pierwsze tego rodzaju opracowanie, ukazujące w szerokiej retrospekcji rozwój szkolnictwa i oświaty. Wartość poznawczą „Rocznika” podnosi zaprezentowanie danych dotyczących innych krajów. W sumie tom zawiera blisko 260 tablic oraz kilkanaście wykresów.

Zacznijmy od porównań międzynarodowych. Jak wiadomo, w Polsce obowiązuje 8-letnie nauczanie podstawowe, natomiast w Anglii, Francji, NRD i na Węgrzech obowiązek nauki trwa 10 lat, z tym, że w Wielkiej Brytanii naukę podejmują dzieci już po ukończeniu 5 roku życia, we Francji i na Węgrzech — po ukończeniu 6 roku.

Dodajmy od siebie, że również w Polsce wielu pedagogów oraz działaczy oświatowych opowiada się za wcześniejszym rozpoczęciem nauki; przemawia za tym nie tylko szybsze dojrzewanie dzieci, ale wiele innych względów, m. in. objęcie sześciolatek nauką zwolni wiele miejsc w przedszkolach, co jest szczególnie ważne dla miast.

Na podkreślenie zasługuje wydłużający się okres obowiązków szkolnych. Ma to istotne znaczenie dla upowszechnienia oświaty i kultury; przynosi także wymierne korzyści: jak wiemy skądinąd, im dłuższy okres nauczania ogólnego, tym mniej czasu trzeba poświęcać na zawodowe kształcenie młodzieży. Szkolnictwo zawodowe zaś, które jest znacznie kosztowniejsze, staje się w wielu krajach dominującym działem kształcenia ponadpodstawowego. Na tle tych tendencji żarliwie prezentuje się Portugalia; jest ona jedynym europejskim krajem, w którym obowiązek szkolny kończy się w 11 roku życia, a więc trwa zaledwie 4 lata.

A oto kilka danych dotyczących szkolnictwa polskiego w okresie przedwojennym i obecnie. Tuż przed wojną do szkół podstawowych uczęszczało prawie 5 mln dzieci, w minionym zaś roku szkolnym — 5,5 mln uczniów, chociaż ludność Polski jest mniej liczna. Liczba uczniów liceów ogólnokształcących wzrosła z 234 tys. do 323 tys., natomiast w szkołach zawodowych — z niespełna 230 tys. do 1,6 mln, a więc prawie 7-krotnie. Imponujący jest również rozwój szkolnictwa wyższego; przed wojną było 50 tys. studentów, a w ub. roku akademickim — 274 tys.

W minionym dziesięcioleciu kadra nauczycieli szkół podstawowych wzrosła ze 110 tys. (rok szkolny 1956—1957) do 189 tys., z tym, że w miastach liczba nauczycieli zwiększyła się dwukrotnie, na wsi zaś nieco o ponad 50 proc. Ocena tego zjawiska wymaga odrębnej analizy, ale dane te zdają się być jeszcze jednym przykładem trudniejszych warunków, w jakich znajduje się szkolnictwo wiejskie, które nie gwarantuje jeszcze — mimo milowego kroku naprzód — równego startu młodzieży.

W średnim szkolnictwie ogólnym pracowało w minionym roku 15 tys. nauczycieli, o 4 tys. więcej niż przed 10 laty, w szkolnictwie zawodowym zaś 58 tys., o 27 tys. więcej. Liczba pracowników dydaktycznych szkół wyższych wzrosła w tym okresie z 19 tys. do 24 tys. osób. Warto podkreślić, że aktualnie prawie wszystkie działy szkolnictwa odczuwają braki kadrowe.

„Rocznik” przynosi ciekawe informacje statystyczne o szkolnictwie mniejszości narodowych. Z białoruskim językiem nauczania istnieje u nas 31 szkół podstawowych, z litewskim — 9, ze słowackim — 5 oraz z ukraińskim — 2 szkoły. Litewska i słowacka mniejszość

(Dokończenie na str. 7)

Jan Lysakowski

KRYPTONIM „JASKÓŁKA”

(dokończenie)

Karol wpadał na stanowisko dowodzenia tylko raz dziennie. Miał teraz dużo roboty. Ofensywa wisiała na włosku, czuły to nasze frontowe nosy, zresztą wszyscy nie mówili o czym innym, trzeba było danych, a danych. Niekano Niemców ogniem koczujących dział i kaemów, punkty obserwacyjne nanosili na szkicze wykryte środki ogniowe, potem uzupełniano mapy. Wraz z innymi wiadomościami dawały nam obraz faszystowskiej obrony.

Stopniowo gasła nadzieja. Od partyzantów żadnej wiadomości, Hala milczała. Odwołano stan pogotowia radiowego. Szła normalna praca. Gdzieś tam w głębi serca gnębiła człowieka myśl o tym, że już nigdy nie zobaczy dobrych kolegów, dobrych żołnierzy, z którymi wojowało się przecież kawał czasu i nauczyło się ich cenić jak rodzonych braci. Ale wojna jest wojną i nikt nigdy nie zgadnie, kto w końcu dojdzie żywy do Berlina. A chciało się dość, bardzo chciało.

Armia ruszyła wreszcie na zachód, działa wymieszały z ziemi niemiecką obronę, czołgi porwały na strzepy zapory, polami szły fale piechoty. Nas goniono w przód, miłośnicy pierwszeństwa się do wioski i miasteczka, brać jeńców, szukać sztabów i dokumentów. ...Wtedy, gdy ruszyła ofensywa, Karol jedyń raz pokazał swą słabość. Było to w ciemny wieczór, mroźno śniegiem, pokiwały działa, niedaleko paliły się domy. Zatrzymaliśmy się na chwilę w chacie, byliśmy zmarnięci i głodni. Karol dzwonił parę razy podgrzaną konserwą, nie chciał wódki. Palił papierosa za papierosem, gapił się na mapę, coś tam wymierzał, wreszcie podniósł głowę. — Jednak pojedę. — powiedział.

— Gdzie? — zdziwiłem się. — W rejon działania Suchego. Patrzyłem na niego wyczekująco. Wiedział przecież, że sztab tam kogoś skierował. Karol gryzł wargę, łamał się sam ze sobą. Wreszcie popatrzył na mnie. Widziałem w jego oczach mękę.

— Muszę jechać — mówił pośpiesznie — ty może tego nie zrozumiesz. Muszę. Nie będę miał chwili spokoju. Nic nie mów. Wiem, wszystko wiem. Wojna, obowiązki, ale ja jestem tylko człowiekiem. Nie kamieniem czy posagiem, ale człowiekiem. Tyle lat tylko dla wojny. Raz muszę dla niej. Jutro wrócę. Nic ci nie narzucam. Melduj co chcesz, nie będę miał pretensji.

— Jasne — powiedziałem — ja to załatwię. Ale jutro będziesz z powrotem.

— Będę — rzucił to już przez ramię. Wybiegł z chaty. Zaraz zawarzał silnik samochodu.

Czarowałłem sztab, zwałłem na złą radiostację, niby to szukałem Karola. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie meldunek jakiegoś punktu kontrolnego na który się nadział Karol i zaraz zresztą zwał. Wybuchła oczywiście awantura, tu się wtrącił nasz kapitan. Nie wiem czym przekonał pułkownika, zawołał nas obu po powrocie od władzy, zwymyślał i na tym się skończyło.

Karol nic nie znalazł. Ludzie pamiętali jakąś walkę, chwalili nawet poległych żołnierzy, dziewczyny nie widzieli. To samo potwierdził wysłannik sztabu. Nie spotkało nikogo żywego z grupy.

III

...Ona... Poszła na wojnę prosto ze zniszczonego domu, rodzice zginęli zamordowani przez banderowców, chciała mścić, nie wiedziała jak. Po tem kurs, radio, zwiad... Ludzi pokrywała gruba skorupa, pancerni... Bronili się przez nią przed wojną, przed jej grozą. Znieczuli się jedni świadomie, drudzy nieświadomie... Często nadrabiali miną, pokazywali się nie takimi jacy byli w rzeczywistości... Nie umiała ich rozszyfrować, znaleźć klucza... Aż wtedy, gdy spotkała Karola. Lubił te same wiersze co ona, znał się na nich... Był inny niż podpici, rozwrzeszczeni ludzie, inny niż kapitan i Kasia, któ-

rzy zdawali się nic sobie nie robić z niczego i nikogo. Karol był inny... Adorował ją nieśmiało, zaglądał w oczy, sprawiał drobne przyjemności. Rozumiał ją nawet wtedy, gdy nic nie mówiła. Był oparciem w tej strasznej burzy...

Kasia denerwowała ją. Cieszyła się nawet z wizyt u kapitana, chwaliła się swym powrotem. Hala czuła obrzydzenie... Gdyby mogła uciec od niej, wynieść się z tego pookoju... Jakby się lepił do niej jakiś brud...

Kasia szła z grupą. Żegnały się zdawkowo, nie miały sobie nic do powiedzenia. Dopiero wtedy, gdy zamilkła radiostacja...

Godzinami patrzyła w czarne pudło, słuchała pisków, sto razy drżała z niecierpliwości, że to już... Kasia jednak milczała... Coś się w niej przelamywało. To nie ludzie są winni. Wojna... Zła wojna i ci, co ją wywołali, faszyci... Nie tylko pociski i odlamki kaleczyły jej uczestników. Raniły ich warunki, śmierć zagładająca w oczy, trud nad siły, niepewność jutra... Kasia bez wojny byłaby wesołą dziewczynką, potem czuła żonę i matką. Zginęła gdzieś w śnieżnej pustce, nigdy nikt nie będzie wiedział co myślała, o czym marzyła... A ona, głupia, sentymentalna dziewczyna bawiła się w osady, potępienia... I co? Tamta poszła bez dobrego słowa, jakby jechała na spacer do sąsiedniego miasteczka...

W lesie koło szosy siedzieli bez ognia, bez ciepłej strawy, spali na śniegu. Chłopcy jej jednej zbudowali mały szałasik, dawali swoje koce, kazali chronić ręce, by mogła sprawnie nadawać. Byli jej bliżsi niż krewni, którzy zostali gdzieś daleko.

Dawali potem to życie bez słowa, umierali w milczeniu,

ranni zagryzali wargi do krwi, by nie jęknąć, zasłaniali ją sobą, ginęli po kolei. Nie starczało jej łez, by ich żałować, marzyły te lzy w zasnęzonym lesie, wokół ujadły psy obławy, trzaskały automaty. Dopóki było radio, nie traciła nadziei... To jakby nitka łącząca ze światem, z ludźmi... Potem zielona skrzynka zamilkła. Trafił w nią karabinowy pocisk. Szli dalej w trójkę. Suchy gorączkował, włókł za sobą przestreloną nogę. Opierał się na niej, skąd brała siły? Wtedy trzymała ją tylko jedna myśl: wyprowadzić go, ocalić. Została w krzakach na skraju lasu, kazała im iść. Z Suchym musiał być mężczyzna, ona by nie mogła go dźwigać. Jej więc wypadło oślaniać. Widziała jak zginęli obaj, Niemcy już odcieśli drogę odwrotu. Strzelała z automatu, krążyli wokół niej jak głodne wilki, nie mogli podejść... Aż wreszcie celny pocisk wytrącił jej automat. Widziała krew płynącą z ręki, widziała zbliżających się Niemców. Czekając śmierci, chciała jej. Karol odpłynął gdzieś dalej, wtedy nie myślała o nim. Jego twarz powróciła dopiero w piwnicy, gdy leżała na zimnym, lodowatym betonie i czekała na kolejne przesłuchanie. Bili ją... Bili ją tak, by czuła, najwięcej po rannej ręce. Nocami zmagając się z gorączką przywoływała obraz Karola... Rozmawiała z nim, opowiadała mu o bólu, skarżyła się na zimno, na odmrożone ręce i ropiejącą ranę...

Gdy ruszyło natarcie, Niemcy wieźli ją ze sobą... Nie pamięta gdzie, była w gorączce, paskudnej, przedśmiernej gorączce, gdy tabor niemiecki rozjechał radzieckie czołgi.

Potem wożono ją ze szpitala do szpitala, był tyfus i zapalenie płuc, rany na rękach goiły się z trudem, parę razy uznawano, że medycyna jest bezsilna... Ale organizm nie poddawał się... Organizm walczył z chorobą... I świadomość, że jest Karol, że go trzeba szukać... Gdzieś po-

mieszane dokumenty, znalazła się na rekonwalescencji aż za Moskwą. Długo trwał powrót. Ciągłe bano się ją puścić, czekali aż wydobrzeje...

W Warszawie spotkała znajomego zwiadowcę. Był już w cywilu. Zapytany o Karola odpowiedział, że poległ nad Odrą. Widział na własne oczy. Usiadła wtedy w parku, płakała, nie chciało się jej nigdzie iść. Zginął cel dla którego żyła, uciekła dosłownie grabarzowi spod łopaty... Po co?

Znalazła się jakaś ocalała z ogólnego pogromu ciotka. Hala dała się namówić na wyjazd do Koszalina. Cóż, mimo wszystko trzeba jakoś żyć. Jeżeli tak wyszło, że zostało człowiekowi to nikomu niepotrzebne życie...

I tak szło... Z przyzwyczajenia robiła co do niej należało, pracowała, automatycznie szła do zakładu i wracała do domu, automatycznie pomagala we wspólnym gospodarstwie prowadzonym z ciotką. Odpychała od siebie myśli o czasach wojny... Nie chciała do niej wracać... Zbyt bolało.

Jechała pociągiem, naprzeciw siedział jakiś wojskowy, czytał gazetę. Przekładał ją na drugą stronę, ze zdjęcia spojrziała na nią twarz Karola. Byli to najlepsi absolwenci kursu w Rembertowie... Chwilę nie mogła zebrać myśli, potem wyrwała kapitanowi gazetę, czytała gorączkowo nie zważając na protesty i oburzenie. Tak, to Karol.

Siedziałem w wygodnym fotelu, powoli sączyłem wino. Patrzyłem na dwoje ludzi. Oto są w swoim porcie. Zastużyli na to... Dwoje pięknych, dzielnych ludzi...

Pastorałki w rytmie big-beatu Wszystko o gitarach Bibliofilski rarytas

Tego jeszcze nie było! Ale zaraz zapewniam Was, że pomysł to uroczy, a realizacja znakomita, pełna prostoty, wdzięku, nie pozbawiona szacunku dla tradycji, którą jednak traktuje się tu z młodzieńczym humorem i przymrużeniem oka, w jak najlepszym sensie. Wszystko co wyżej powiedziane dotyczy małej płyty Polskich Nagrań „Muza” (N 0490) pt. „Czerwone Gitary śpiewają koledy”. Tytuł jest trochę nieścisły, bo czterech chłopcy z gitarą śpiewają 2 koledy i 2 pastorałki, wszystko w opracowaniu i wykonaniu big-beatowym. Stare koledy „Mizerna cicha” i „nie mniej popularna „Dzisiaj w Betlejem” poprzedzają pastorałki „Mości gospodarzu” i supernowa, autorstwa Krajewskiego i Dzikowskiego pt. „Jeden dzień w roku”, z pięknym, nastrojowym tekstem, w którym mówi się o zwykłym dniu, jednak jedynym dniem, gdy wszyscy ludzie ślą sobie życzenia i nie tylko ludzie... Wszystkim melomanom mogą tylko życzyć, by Mikołaj, gwiazdor, Nowy Roczek itp. w swym worku ze świątecznymi prezentami przynieśli im właśnie tę nader udaną płytę.

Do „Polskich Nagrań” mam jednak żal, że na kopercie (notabene bardzo tandetnej) podano nazwiska reżysera dźwięku i operatora — J. i K. Urbańskich, autora zdjęcia i nawet projektanta graficznego — za co chwala, a przemilczano natomiast autora pięknej oprawy, dobrze znanych melodii na rytmie młodzieżowe.

Z big-beatem kojarzy się zawsze gitara; bez niej zespołu tego typu nie można sobie wyobrazić. Co prawda gitara, nie ta piękna tradycyjna, lecz gitara wzmocniona woltami, dzięki którym szlachetny dźwięk jednego z najstarszych instrumen-

na instrumentach uważanych powszechnie za najbardziej szlachetne) ktoś gra źle, nikt nie ma pretensji do instrumentu, lecz do źle grającego dytanta. W wypadku gitary, stosuje się nieoczekiwane inne kryteria; zamiast skrytykować złego wykonawcę, krytykuje się sam instrument! Trudno nie przyznać racji takiemu stanowisku.

Książka „Gitara od A do Z” jest przemiłą lekturą, i pouczającą przynajmniej dla gitarzystów lub kandydatów na

śnicy gitary wierzą jednak, że właśnie ona stanie się w przyszłości jednym z najpopularniejszych instrumentów artystycznych (podkr. moje) i odegra poważną rolę w umuzykalnieniu społeczeństwa”. Do tych słów Józefa Powroźniaka nie dodać nie trzeba. Chyba autor ma rację!

Powracając do nastroju świąteczno-noworocznego, a właściwie tkwiąc w nim już po uszy, bo przegromny ruch we wszystkich sklepach nie pozwala zapomnieć o nadchodzących dniach błogosławieństwa (będzie w tym roku kiedy świętować), które każdy zapewne urozmaici sobie nadrabianiem zaległości w czytaniu — chciałabym jeszcze wspomnieć o wydawnictwie również PWM pt. „Pastorałki polskie”, których autorem jest nikt inny, tylko sam Jerzy Harasymowicz. Jest to wydanie dla smakoszy stylizacji ludowej, poezji w czystej formie i starych polskich drzeworytów ludowych. „Pastorałki” wydane są tak pięknie, że każde spojrzenie na ten zeszyt (taką przyjęto formę) raduje serce. Opracowanie graficzne Władysława Duleby zasługuje na szczególne uznanie. To samo trzeba powiedzieć o Drukarstwie Narodowej w Krakowie, która książkę wykonała na papierze z Krapkowic.

Zaluję, co prawda, że jest to wydanie broszurowe, i żałuję też, że nakład ma tylko 3240 egzemplarzy. Z uwagi na tematykę, a głównie samego autora i formę wydania — książka z miejsca stała się rarytatem bibliofilskim. I jeżeli posadzicie mnie o cień sadyzmu za to, że wspominam o książce, która w zasadzie już nie jest do nabycia, nie będę mogła zaprzeczyć. Ale tacy już są kolekcjonerzy!

GAMA

ROZMOWY MUZYCZNE

tów, jakie zna ludzkość, staje się królem decybeli. Dziś nie o tej gitarze chcę mówić, lecz tradycyjnej, o której Józef Powroźniak w swej książce „Gitara od A do Z” tak m. in. pisze: „Zaden z instrumentów muzycznych nie spotkał się w swej historii z tak różnorodnymi ocenami jak gitara: mówiono o niej i pisano z zachwytem albo z pogardą, z najwyższym uznaniem lub z całkowitym lekceważeniem”.

Okazuje się, że i dzisiaj gitara ma identyczną opinię. Autor książki szukając źródeł niedocenzonego instrumentu, dochodzi do bardzo przekonującej mnie konkluzji. „Niekorzystna opinia o gitarze jako o instrumencie, kształtuje się też na skutek dziwnego nieporozumienia — pisze. — Tak więc obserwujemy, że jeśli na skrzypcach lub na fortepianie (a więc

wirtuozów gitary, lecz również dla biernych miłośników muzyki.

Materiał zawarty w książce można podzielić na trzy zasadnicze działy: historię gitary od najwcześniejszych lat cywilizowanej ludzkości, a było to bardzo, bardzo dawno — do dziś; drugi dział obejmuje technikę gry i to różnych typów gitar, m. in. rosyjskiej, orkiestrowej i hawajskiej oraz wykaz wydawnictw gitarowych.

Na 370 stronach prócz interesującego tekstu znajdujemy ciekawe ilustracje i przykłady nutowe. Rzecz trzeba, że Polskie Wydawnictwa Muzyczne, które książkę wydały, uczyniły to — jak zwykle — ze wzruszającym pletyzmem dla sztuki.

„Upłynie zapewne sporo czasu zanim zniknie ostatecznie bariera przedzielająca nasze środowisko muzyczne od muzyki gitarowej. Polscy miłoś-



Rys. J. Sienkiewicz

Radiosłuchacz i telewizor - w świetle badań socjologów

Ośrodek Badań Opinii Publicznej i Studiów Programowych przy Polskim Radiu i TV przeprowadził badania nad zasięgiem korzystania z różnych środków masowej informacji. Z uzyskanych materiałów wynika, że największy krąg odbiorców ma w Polsce radio, na drugim miejscu znalazły się gazety, na trzecim — telewizja, a czwartym — czasopisma, a na piątym — książki. Informacje te podano na niedawnym posiedzeniu Rady Programowej Radia i Telewizji.

Krąg odbiorców radia w Polsce obejmuje 93 proc. ludności powyżej 15 roku życia, co stanowi ok. 20 mln osób. Choć audycje radiowe dla przeciętnego radiosłuchacza stanowią przede wszystkim „tło dźwiękowe” dla innych czynności, to bynajmniej nie jest mu obojętne, jakie to tło. Do najczęściej słuchanych należą muzyka lekka i piosenki, programy rozrywkowe i muzyka ludowa, audycje polityczno-informacyjne, powieści radiowe i słuchowiska teatralne. Do najbardziej kontrowersyjnych zaliczane są audycje muzyki poważnej i ludowej. Duża część ankietowanych chciałaby mieć w programie mniej muzyki poważnej. Zwiększenia czasu nadawania muzyki ludowej domagają się przede wszystkim mieszkańcy wsi i pochodzenia wiejskiego.

W słuchaniu radia przez przeciętnego odbiorcę w ciągu dnia można wyróżnić kilka faz. W dniu powszednim największa liczba osób (ok. 60 proc. ogółu radiosłuchaczy) włącza odbiorniki w godzinach 6—7 i 16—21. W niedzielę najczęściej, bo aż ponad 70 proc. odbiorców, słucha radia w godzinach 8—9 i 14—15. W nocy korzysta z programu radiowego ok. 3 proc. radiosłuchaczy.

Największa liczba odbiorców korzystających jednocześnie ze wszystkich programów radiowych liczy ok. 15 mln osób, najmniejsza (oczywiście w nocy) — ok. pół miliona.

Liczba zarejestrowanych w Polsce telewizorów osiągnie wkrótce 3 mln. Korzysta z TV w ogóle 74 proc., a względnie regularnie 42 proc. mieszkańców powyżej 15 roku życia. W pierwszym przypadku krąg odbiorców liczy ok. 18 mln, a w drugim — ok. 9 mln. Najwięcej osób ogląda programy telewizyjne

w dni powszednie w godzinach 19—22, a w niedzielę — między 17 a 22.

Z badań nad gustami odbiorców telewizji wynika, że większość z nich uważa, że TV powinna dostarczać przede wszystkim rozrywkę, a potem informować o ważnych wydarzeniach w kraju i na świecie. Jeśli idzie o zainteresowanie poszczególnymi programami, to stwierdzono, że najczęściej widzów ogląda filmy (79 proc.), na drugim miejscu występuje zainteresowanie audycjami rozrywkowymi i muzyką lekką (51 proc.), na trzecim — przedstawieniami teatralnymi (45 proc.), na czwartym — audycjami informacyjno-publicystycznymi (41 proc.), sportem (17 proc.); audycje popularyzujące naukę i sztukę interesują 9,5 proc. widzów. Uderza małe zainteresowanie audycjami dla wsi: w mieście 0,5 proc., a na wsi — 2,8 proc. ogółu odbiorców. Do najbardziej kontrowersyjnych należą audycje muzyki poważnej oraz literackie, gdzie procent tych, którzy żądają ich usunięcia z programu jest kilkakrotnie większy od procentu interesujących się tymi audycjami.

Na pytanie, czy w programie telewizyjnym nastąpiły jakieś zmiany od czasu, gdy badania oglądają go stale, 29 proc. nie miało na ten temat poglądu, 22 proc. uważało, że program jest „na ogół coraz lepszy”, 20 proc., że „jedne audycje są coraz lepsze, inne coraz gorsze”, 13 proc. stwierdziło, że w programie nie nastąpiły żadne zmiany, a za coraz gorszy uznało go 10 proc.

W dyskusji, która rozwinęła się na posiedzeniu Rady Programowej, zwracano uwagę na konieczność lepszego wykorzystania wyników badań Ośrodka w bieżącej pracy radia i TV. Utworzona ostatnio Pracownia Badań Szybkich dostarczać będzie odpowiedzi poszczególnym redakcjom na interesujące je pytania w ciągu 5—6 tygodni. W związku z małą popularnością niektórych programów oświatowych i rolnych w TV, członkowie Rady wskazywali na potrzebę wzbogacenia form i uatrakcyjniania tych ważnych punktów programu. (Kt-PAP)



Bogumił Kobiela i Jacek Fedorowicz byli przez długi czas ozdobą „Poznajmy się”, programu uroczego, acz nieoryginalnego, bo skopiowanego w sposób dość dosłowny z amerykańskich shaws. Reżyserował „Poznajmy się” Jerzy Gruza.

Obecnie wygląda na to, że Bogumił Kobiela i Jacek Fedorowicz postanowili rozdzielić swe talenty i zrobić dwa różne programy, z których jeden polegał na umiejętnościach mimicznych twórcy i był takim sobie wesolutkim quizem, nadanym parę tygodni temu; drugi zaś, o nieco większych pretensjach intelektualnych i leciutkiej stylizacji w stronę widowiska purnonsensowego otrzymaliśmy w ubiegłą niedzielę. Bardzo lubię obydwu aktorów i doceniam talent w gruncie rzeczy są ciągle utrzymywane w jednym i do tego starym stylu? Przecież i quiz Fedorowicza, i „Na głowie” Kobieli — to ciągle to samo „Poznajmy się” — tyle, że okrojone w czasie i bez dawnego rozmachu. Kiedy je oglądałam, przychodziły mi na myśl Divertimenta Jeremiego Przybory, które są także jakąś kopia Kabaretu Starszych Panów — kopia okrojona w czasie i bez dawnego rozmachu. Naturalnie, że chętnie na to patrzymy, że wręcz czekamy na ten typ rozrywki, że doceniamy wysiłki twórców, którzy rzeczywiście stają na głowie, by rzecz wypadła świeżo i oryginalnie. Ale patrząc, doceniając, uśmiechając się nie potrafimy jednocześnie opętać się przed villonowskim refrenem, tak genialnie tłumaczonym przez Boy'a: „Ach, gdzież są, gdzież są niegdysiejsze śniegi?”

Kiedym już sięgnęła po klasykę francuską, jakże tu nie wspomnieć „Listów panny de Lespinasse” tak pięknie przygotowanych przez Halinę Mikołajską w środowisku studio współczesnym? Nie wiem, czy teatr jednego aktora trafia do parumilionowej widowni (obawiam się, że nie trafia); wiem, że była to uczta dla tych, którzy upatrują w tej

formie widowiska swoistego renesansu teatru. Mikołajka jest wielką aktorką, a „Listy” tę wielkość nobilitują nowymi, szlachetnymi elementami interpretacyjnymi. Nawet wtedy, kiedy spadają na nas dość nieoczekiwane w miejsce innych listów — Mariany Alcoforado i drugiej dobrej aktorki Marty Lipińskiej...

Na uznanie zasługują też dwa dobre teleturnieje: jeden poświęcony sprawom bardzo specyficznym i zarzem specjalistycznym pasjonował mieszkańców wsi ich własną problematyką; drugi przygotowała nam Joanna Rostocka i jak zwykle z wdziękiem go poprowadziła, lawirując między błagą a prawdą. Należy powitać z radością te jaskółki, zapowiadające wiosenną odwilż w formie i treści staruszków — teleturniejów, bo wszak były one już bardzo brodate, bardzo sztapowe i bardzo nudne.

Z mniejszym natomiast entuzjazmem powitałem słowacki spektakl „Kubo” w „Teatrze na świecie”, bo, stanowiąc trzecią już pozycję nowego cyklu, jakoś w żaden sposób nie był ilustracją najciekawszych osiągnięć światowego teatru. Ciągle odnoszę wrażenie, że pokazuje nam się w tym cyklu odpryski zaledwie dramaturgii światowej, że brak mu jest konsekwencji repertuarowej, że są to ciągle przypadki, iż takie a nie inne pozycje prezentuje on telewizjom i że w gruncie rzeczy wszystko co tu widzimy bardzo mało przypomina teatr w ogóle, będąc zlepką reportażu, dokumentu i nade wszystko telewizyjnego filmu. I kiedy wspomnę sobie tę wspaniałą zapowiedź, że zobaczymy w „Teatrze na świecie” właśnie to, co w światowej dramaturgii najciekawsze, najcenniejsze, najbardziej dla danego kraju charakterystyczne — znowu dostrzegam szlachetne kłamstwo zamiarów, których ani rzadziej rzeczywistość potwierdzić nie chce.

I na zakończenie chciałabym poruszyć jeszcze jeden „rozrywkowy” drobiazg — zupełnie niesamowitą reklamę lodówki Igloo. Zaczyna się ten reklamowy szlagier kilometrami gołych nóg Barbary Rylskiej, która przy tym z wataśnym sobie wdziękiem bahaćki przedmieść śpiewa starą piosenkę o giczalach. Rzecz byłaby co najmniej zabawna, gdyby... nie odbywała się na oczach parumilionowej widowni i gdyby nie była powtarzana z uporem godnym lepszej sprawy regularnie co dni parę. Popularne kabaretowe „giczalę” nie grzeszą bynajmniej wybrednością języka, Barbara Rylska — skromnością, reklamowy blekaut — nadmiarem sensu i w sumie sprawa jest, niestety, niesmaczna. Piosenki kabaretowe mają to do siebie, że śpiewa się je w pomieszczeniach nader szczupłych, że właśnie w klimacie intymności, przeważnie nocnej zabawy, uchodzą im każda frywocność. Przeniesione jednak na mały ekran — nie wszystkie nadają się do rozpowszechniania właśnie przez nadmiar teje frywocności i ktoś odpowiedzialny za dobry smak i umiar przydałby się w telewizji w roli cenzora. Co napisałam nie gwoli żadnej pruderii, lecz w obronie zwykłej przystojności obyczaju.

KRYSTYNA

KSIAZKI

Edmund Kosiarz: WYZWOLENIE POLSKI POŁNOCNEJ. 1945. Wyd. Morskie, s. 336, cena zł 40.

Najnowsza książka autora, która poświęciła tematce marynistycznej. Znajdziemy tu oparte na materiałach źródłowych i dokumentach opisy operacji wojskowych, dzięki którym wyzwolona została północna część Polski. Mapy, ilustracje, bogato rozbudowane indeksy.

Georges Friedmann: PRACA W OKRUCHACH. KIW, s. 303, cena zł 40.

Znakomity socjolog francuski w książce tej daje próbę przestudiowania ludzkich problemów związanych z mechanizacją i specjalizacją zadań w przemyśle i innych dziedzinach życia gospodarczego.

Na tropach cząstek. W-wa 1967, PWN, s. 448, cena zł 45.

Książka ta daje wierny i obszerny obraz badań nad cząstkami elementarnymi, aktualny w roku 1964. Zawiera bowiem 17 rozpraw pióra różnych uczonych fizyków, którzy badaniami swymi ogarnęli niemal wszystkie podstawowe problemy cząstek elementarnych, przedstawiając je w jasny i poglądowy sposób.

ŻOLNIERSKIM SZLAKIEM. MON, s. 338, cena zł 30.

Jest to antologia fragmentów najpopularniejszych książek o ostatniej wojnie i współczesnym wojsku. W pewnym stopniu stanowi ta książka przegląd polskiej literatury wojennej. Są tu fragmenty prozy Putramenta, Pruszyńskiego, Przymanowskiego, Meissnera, Gerharda, Hena, Paukszy i wielu innych znanych i mniej znanych pisarzy współczesnych.

Bertrand Russell: ZBRODNIENIE WOJENNE W WJETNAMIE. MON, s. 240, cena zł 11.

Autor — wybitny angielski matematyk, filozof i socjolog — laureat nagrody Nobla za rok 1950. Jest on zarazem radykalnym działaczem społecznym, walczącym z przemocą stosowaną w stosunkach międzynarodowych. Stąd jego nieprzejednana postawa obrońcy praw wolności i samostanowienia narodu wietnamskiego.

Stanisław Gebethner: RZĄD I OPOZYCJA JKM W SYSTEMIE POLITYCZNYM WIELKIEJ Brytania. KIW, s. 347, cena zł 25.

Książka poświęcona jest jednemu z węzłowych problemów ustrojowych współczesnej demokracji burżuazyjnej. Autor ukazuje mechanizm działania współczesnego państwa brytyjskiego.

Ernst Fischer: MŁODE POKOLENIE ZACHODU. Przeł. R. Werfel. Iskry, s. 273, cena zł 15.

Autor — długoletni członek Komunistycznej Partii Austrii, poeta i dramaturg — publicysta i historyk, działacz polityczny i znawca problemów kultury. Wymienioną książkę pisał o młodych ludziach z NRF, którzy wychowywali się w wrogosci do marksizmu i socjalizmu. Szuka dla tej młodzieży miejsca w rodzinie i społeczeństwie, stawia pytanie: jak żyć?

Władysław Pawlak: HAWAŃSKIE ABC. Iskry, s. 322, cena zł 24.

Autor oparł się na materiale własnych spostrzeżeń poczynionych w czasie pobytu na Kubie, na sprawach dotyczących Kuby na terenie ONZ oraz na materiale źródłowym. Ciekawe wiadomości z historii i czasów współczesnych, liczne zdjęcia.

Bohdan Wrocławski: LINIA KRAT. Wyd. Morskie, s. 39.

Debiut młodego poety — członka literackiego klubu „Jaszczur” w Elblągu. Jest to zbiorek lirycznych wierszy i prozy poetyckiej.

Bogdan Chorażuk: SPROSTASZ NASZY CZASOM. Wyd. Morskie, s. 55, cena zł 10.

Czwarty z kolei tomik poezji gdańskiego poety, którego wiersze zamieszczane były również w almanachach.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska: WIERSZE. PIW, s. 360, cena zł 25.

Starannie wydany, obszerny wybór wierszy znakomitej polskiej poetki okresu międzywojennego. Obszerny, dobrze wprowadzający w jej twórczość wstęp Stefana Flukowskiego.

TEATR RADZIECKI. Antologia. Wybór, słowo wstępne i opracowanie Stanisław Witold Balicki. T. I—IV. PIW, s. 410 + 582 + 626 + 510, cena całości 140 zł.

W tomie pierwszym zamieszcza autor antologii dwa utwory Majakowskiego, jeden A. Lunaczarskiego, I. Babla, M. Bułhakowa, M. Gorkiego. Tom drugi przynosi utwory dramatyczne W. Bill-Bialoerckowskiego, K. Treniewa, W. Iwanowa, A. Korniejczuka, W. Wiszniewskiego i M. Pogodina. Trzeci — A. Fajko, L. Ruchmanowa, A. Afinogenowa, K. Simonowa, A. Szejna, i E. Szwarca. W tomie czwartym występują: L. Leonow, J. Baltuszis, A. Saliński, A. Arbusow, A. Wołodin (którego sztukę „Pięć wieczorów” przełożył kierownik literacki Państwowego Teatru im. W. Siemaskowej w Rzeszowie Jerzy Pleśniarowicz), M. Szatrow. Etycja ilustrowana fotosami z różnych inscenizacji sztuk radzieckich w Polsce, m. in. fotogramy z rzeszowskiej inscenizacji „Pięciu wieczorów” Wołodina i „Hotelu Astoria” A. Szejna. Również noty biograficzne poszczególnych pisarzy.

Julian Siemionow: TRZECH Z WYDZIAŁU ŚLEDZIEGO. Przeł. I. Szeni. Iskry, Wyd. II, s. 194, cena 18 zł. Bibl. Srebrnego Kluczyka.

Jerzy Edigey: UMRZESZ JAK MĘŻCZYNA. Iskry, s. 185, cena 18 zł. Bibl. Srebrnego Kluczyka, Współczesny kryminal.

Nowości Wyd. Prawniczego:

K. Kosiakowski, Cz. Sawicz: PORADNIK ŁAWNIKA W SPRAWACH CYWILNYCH, s. 195, cena 18 zł.

W. Bągiński, F. Romaniuk: PODSTAWY PRAWNE POSTĘPU TECHNICZNEGO. Przepisy, Objasnienia, Orzecznictwo. Stan prawny na dzień 1 IX 1967 r., s. 240, cena 23 zł.

Janusz Szwaia: KARA UMOWNA WEDŁUG KODEKSU CYWILNEGO, s. 171, cena 25 zł.

Z ZAGADNIEN KRYMINALISTYKI. Prace Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie, s. 131, cena 17 zł. Zeszyt II.

Szkolnictwo w cyfrach

(Ciąg dalszy ze str. 5)
narodowa mają również licea ogólnokształcące.

Książka przynosi wszechstronne informacje o szkolnictwie wyższym. Z tej dziedziny odnotujemy kilka wskaźników dotyczących kierunków studiów w niektórych krajach. W Polsce zwiększa się liczba studentów na kierunkach technicznych, wynosząc w ub. roku akademickim 32,5 proc. ogółu studentów, w Czechosłowacji — 37,6 proc., a w Bułgarii — 39,5 proc. Kraje te wyraźnie preferują rozwój studiów technicznych. Natomiast w Danii na kierunkach tych kształcą się 8,2 proc. ogółu studentów.

Jeszcze większe dysproporcje występują w zakresie studiów humanistycznych, które u naszego południowego sąsiada kontynuuje tylko 1,9 proc. ogółu studentów, w NRD — 2,8 proc., podczas gdy we Francji i Norwegii — po 33 proc., w Szwecji zaś — 49 proc.

„Rocznik Statystyczny Szkolnictwa” szeroko prezentujący te interesujące, a mało znane zjawiska, jest rzeczywiście lekturą ciekawą i pożyteczną.

A NASZYM EKSTRAKT

Godard — „Alphaville”

Kiedy w 1959 roku na ekrany Paryża wszedł pierwszy film Jean-Luc Godarda „Do utraty tchu” — Jean Paul Sartre powiedział: „To jest bardzo piękne”. „Nadzwyczajne” — zachwycił się Jean Cocteau. Kilka lat później znany pisarz Louis Aragon oświadczył: „Film dla mnie to był przede wszystkim Charlie, potem Renoir, Bunuel, a dziś Godard”.

Nie wszyscy podzielali te poglądy. W prasie filmowej obok pochwał pojawiły się artykuły krytyczne, w których nazywano Godarda szarlatanem, żonglerem intelektualnym, zarzucając jego sztuce powierzchowność i płytność. Gorące spory trwały nadal, o Godardzie pisał się dużo, a rozbieżności i kontrowersje zdają się świadczyć, że mamy do czynienia ze zjawiskiem niecodziennym. Niestety, zbyt mało znamy w Polsce twórczość Godarda, by móc to zjawisko analizować szerzej, niemniej są w jego filmach pewne cechy wspólne, pozwalające stwierdzić, że ich autor jest twórcą wrażliwym, niespokojnym, podejmującym sprawy współczesnej mu rzeczywistości, a jednocześnie szukającym dla przedstawienia tej rzeczywistości nowych środków wyrazu filmowego, odchodzącym od starych wypróbowanych konwencji.

Godard nie przyszedł do filmu dlatego, że mu to imponowało, ani dlatego, że chciał zrobić karierę. Ma on po prostu coś do powiedzenia i uznał, że film będzie najlepszą formą tej wypowiedzi. Z wykształcenia etnograf, mając 20 lat nakręcił kilka krótkometrażówek, był także dziennikarzem, recenzentem, teoretykiem, a jednocześnie montażystą filmowym. Ta przeszłość, jej doświadczenia są widoczne w jego twórczości reżyserskiej. Forma artystyczna jego filmów jest rezultatem poprzednich teoretycznych rozważań, realizacją tezy, że film nie może karmić się swoją przeszłością, naśladować samego siebie, że na współczesne życie musi patrzeć świeżym okiem. Godard jest filmowym dziennikarzem, publicystą używającym kamery zamiast pióra.

Mam przyjaciół wśród malarzy, spośród których kilku pisało lub nadal pisze wiersze. To nie są zwykłe wiersze. Wylazi z nich malarska dusza, pełno w nich barw, obrazów, nauczyłem się już odróżniać te wiersze od innych. Wydaje mi się, że tak właśnie w filmach Godarda widać jego przeszłość dziennikarza — dokumentalisty.

Jest on jednocześnie poetą i to lirycznym, ba, można powiedzieć romantycznym, szczególnie romantycznym XX wieku. Przejawia się to w jego poprzednich filmach, widać to wyraźnie w nowym, wchodzącym obecnie na nasze ekrany obrazie — „ALPHAVILLE”.

Zapowiadał kiedyś Godard ten film jako utwór policyjny, połączony z gatunkiem science — fiction — naukowej fantazji. Nawet tytuł sugerował coś w tym rodzaju — film miał nazywać się „Nowe przygody Lemmy Caution”.

Zmienił potem tytuł na bardziej tajemniczy i poetycki, a sam film, choć istotnie oparty o science-fiction, jest traktatem o niebezpieczeństwach, jakie niesie ludzkości postęp cywilizacji, rozwój techniki, wyraża obawy autora, że technika ta zapanuje nad człowiekiem, wyrzuci mu wiele zła.

Alphaville — to kraina przyszłości, w której społeczeństwem rządzi mózg elektroniczny „Alpha-60”. Życie ludzkie oparte jest tu na podstawach ściśle naukowych, zasadach będących jakby ekstraktem różnych historycznych i to nie najlepszych

doświadczeń ludzkości, na prawach, które mają być doskonałe, bezbłędne, ale w gruncie rzeczy są okrutne i nieludzkie.

Członkowie społeczności Alphaville żyją w luksusie, ale pozbawieni są własnych myśli, uczuć i woli. Istnieją tylko dzięki energii dostarczanej przez „Alpha-60”, każdy z nich ma wytatuowany na karku numer, każdy musi być w zgodzie z określonymi przez maszynę nakazami. Są pojęcia, terminy, których nie wolno używać. Za myśl i wypowiedzi pozostające poza katalogiem obowiązujących norm idzie się pod sąd i lufy drużyn egzekucyjnych. Ludzkie roboty urządzają te egzekucje w pięknym basenie, widzowie klaszczą w dłonie, kiedy rozlegają się salwy.

W Alphaville działa kłóś z zewnątrz, przybysz z naszej współczesnej rzeczywistości, człowiek o twarzy gangstera, ale z ludzką duszą. To ów Lemmy Caution, który chce wyrwać z tej straszliwej krainy jedną dziewczynę, ocalić ją przez przypomnienie słowa „miłość” i wzbudzenie w niej uczucia.

I tu najbardziej uwewnętrznia się romantyzm Godarda. Miłość jako droga wyjścia z grożącego ludzkości panowania techniki, jako ucieczka przed dehumanizacją niesioną przez cywilizację. Lemmy Caution miał przeciw swoich poprzedników — Kamilę z „Pogardy”, bohaterkę „Życie swoim życiem”, a nawet „Kobiety zamężnej”. Oczywiście nie jest to romantyzm dziewiętnastowieczny, ale ma z tym wiele wspólnego.

Godard nie jest filozofem, ideologiem ani burzycielem istniejącego ładu. Daje po prostu swoją wizję świata, dzieli się nurtującymi go wątpliwościami, ukazuje pewne niepokojące go tendencje ludzkości. Nie daje własnych celów i wzorców, ale to co robi, to już niemało. W czasach kiedy człowiek znajduje się pod naporem tylu działań i zjawisk, kiedy tempo życia jest tak szybkie, że trudno często przeniknąć do jego głębi, utwory takie jak filmy Godarda — mimo ich słabości — są pożyteczne i potrzebne choćby jako podstawa, punkt wyjściowy do dyskusji, jako pewne świadectwo naszych czasów.

Taki jest także „Alphaville”, film zrealizowany przeciwieństwo w dekoracjach, ale w naturalnej scenerii współczesnego miasta, podejmujący nienowoty wprowadzając, ale bardziej niż kiedykolwiek aktualny temat, film pesymistyczny mimo happy endu.

(w. sz.)

„Alphaville”. Scenariusz, dialogi i reżyseria J. L. Godard. Zdjęcia Raoul Coutard. W rolach głównych: Eddie Constantine i Anna Karina. Produkcja — 1965 r.



Jan Sagan — kierownik szkoły w Kulnie.
rys. J. SIENKIEWICZ

Kalman Segal

Normalny człowiek

Rozmawiałem z moim przyjacielem o nowoczesnej psychologii, a także o tym, jak trudno bywa określić granicę, gdzie kończy się to, co zwykliśmy uważać za naturalne i normalne, a gdzie zaczyna się patologia. W toku rozmowy mój przyjaciel opowiedział mi taką historyjkę.

— Znałem jednego człowieka, o którym całe miasto twierdziło, że jest wariatem, mimo iż nigdy nie zakłócał spokoju publicznego i nigdy nie popełnił żadnych czynów kolidujących z dobrymi obyczajami i zdrowym rozsądkiem. Wprost przeciwnie. Człowiek ten był przykładnym ojcem i mężem, spokojnym pracownikiem i dobrym obywatelem. Nade wszystko zaś — dobrym obywatelem. Trzeba było zobaczyć go w tramwaju — z jaką gorliwością dopomagał wsiadać do wozu ludziom starszym i ułomnym, lub jak chętnie ustępował miejsca kobietom. Przejawiał wprost niespotykaną energię w wykonywaniu różnych — wydawać by się mogło błażych, lecz w rzeczywistości jakże ważnych — zaleceń, dotyczących np. oszczędzania energii w godzinach tak zwanego szczytu. W zrozumieniu obiektywnych trudności energetycznych, gasił światło, gdzie tylko mógł, wieczory zimowe spędzał przy parafinowej świeczce, a czynił to z niezwykłą pogodą ducha i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Jednego razu zrobił swojej żonie awanturę za to, że stała w kolejce za masłem — on sam chętnie jadł margarynę, ponieważ orientował się w zagadnieniach eksportu i rozumiał niebezpieczeństwo posiadania cholesterolu we krwi. A gdy ciężki przemysł rzucił hasło zbierania złomu, on jako jeden z pierwszych ruszył w teren i wiele kilogramów cennego wtórnego surowca dostarczył do punktu skupu. Z zamilowaniem zbierał szmaty i papiery unosił przez wiatr, na podwórku lub na ulicy. W ten sposób dopomagał gospodarce i przysparzał cennych dewiz. Nie palił i nie pił, nie śmiecił, nie niszczył zieleni, był krwiodawcą, czyścił zęby rano dla urody, a wieczór dla zdrowia, płacił składki, czytał artykuły wstępne w kilku dziennikach, uczęszczał na zebrania, prowadził się moralnie i nie popełniał błędów. Wszystko co robił od świtu do nocy było mądre i celowe. A mimo to uważano go za wariata. Niech mi kto powie, dlaczego.

Mój przyjaciel skończył mówić, a ja chciałem mu opowiedzieć historyjkę o treści pozornie podobnej — o człowieku, który był szaleńcem, choć wszyscy uważali go za normalnego. Ale zrezygnowałem z mojego opowiadania, ponieważ wiem, że dzisiejsi Czytelnicy wymagają od twórczości literackiej aż trzech walorów: by była krótka, krótka i krótka.

ANEKDOTY

W r. 1782 można było przeczytać w dzienniku „Leipziger Zeitung” następujące oświadczenie:

— „Pewien osobnik, nazwiskiem Mozart, miał czelność zniekształcić moją sztukę „Belmont i Konstancja” na tekst operowy. Niniejszym jak najostrożnie protestuję przeciwko temu zamachowi na moje prawa i zastrzegam sobie ewentualność poczynienia dalszych kroków. — Christoph Bretzner, autor „Odurzenia”...

W jednej z naszych przedwojennych gazet ukazała się anegdota o dwu przyjaciółch — dziennikarzach, których kapryśny los umieścił jedne-

go w prasie sanacyjnej, drugiego w opozycyjnej.

— Ja piszę kronikę, płacę mi za to 40 groszy od wiersza. A jak tobie leci? — pyta dziennikarz pisma sanacyjnego.

— Ja pisuję artykuły wstępne po... 6 miesięcy aresztu za kolumnę!

O pierwszym przedstawieniu opery „Tankred” w paryskim Odeonie, które odbyło się w r. 1827, dziennik wiedeński donosił nazajutrz: — „Muzyka włoska, słowa francuskie, pierwsza prima-

donna Niemka, a publiczność prawie wyłącznie angielska”...

Przy łożu śmiertelnie chorego sławnego lekarza wiedeńskiego, Franka, czuwało aż ośmiu lekarzy i naradzało się nad szansami uratowania swego mistrza. Leżący bez ruchu Frank, słysząc szepty kolegów uśmiechnął się i rzekł:

— Przypomniał mi się w tej chwili pewien grenadier francuski, trafiony ośmioma kulami pod Wagramem, który — konając na moich rękach — wyrzekł jako ostatnie te słowa: „Sapperment, aż ośmiu kul pruskich trzeba było, żeby uśmiercić jednego francuskiego grenadiera!”.

ZDARZENIA TYGODNIA

Tydzień temu donosiliśmy o ogłoszeniu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenek Żołnierskiej. Dziś możemy zakomunikować, że odbyło się już posiedzenie Wojewódzkiego Komitetu Festiwalu, na którym ustalono, że siedziba sekretariatu będzie się mieścić w lokalu Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych, i zaakceptowano termin eliminacji powiatowych, ustalony przez Ogólnopolski Komitet (15 lutego do 5 marca 1968 r.). Eliminacje wojewódzkie natomiast odbędą się w drugiej połowie maja roku przyszłego.

W wiadomości ogólnie, że nie zbywa na kadry instruktorskiej dla amatorskich zespołów artystycznych, szczególnie w małych miastach i na wsi. Dlatego też na uwagę zasługuje nowa inicjatywa Wojewódzkiego Domu Kultury. Otóż 30 listopada br. przy Studium Nauczycielskim w Rzeszowie rozpoczął się roczny kurs taneczny i teatralny dla studentów tej placówki. Zajęcia będą prowadzone przez cały rok, zgodnie z programem Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego, przystosowanym do potrzeb pracy nauczyciela w środowisku. Obejmuje on podstawowe wiadomości z zakresu tańca i teatru.

Zespoły pieśni i tańca Rafinerii Nafty w Niegłowicach i Klubu Górników Naftowca z Sanoka intensywnie przygotowują się do wyjazdu na tournée artystyczne do ośrodków polonijnych we Francji. Sprawdzeniem przygotowania będzie występ podczas centralnej akademii naftowców z okazji „Dnia Górnika”, która odbędzie się 9 bm. w Krośnie. Zespoły te zaprezentują program w opracowaniu inscenizacyjnym i reżyserskim kierownika artystycznego rzeszowskiej „Estrady”, reżysera mgr Elwiry Brodowicz-Turkiewicz. Scenografią Ireny Perkowskiej, kierownictwo muzyczne Bolesław Pater i Edward Dynczyński, choreografia Wanda Ryś.

W Zakładowym Domu Kultury WSK w Rzeszowie czynna jest wystawa najlepszych prac, plonu konkursu plastycznego, ogłoszonego przez WKZZ pn. „Nasz sąsiad i przyjaciel Związek Radziecki”. Ekspozycja zawiera 108 prac, w tym 32 amatorów plastyków i 76 — dzieci i młodzieży. Są to m. in. najlepsze obrazy, grafiki, plakaty, zakwalifikowane podczas wystaw, zorganizowanych przez poszczególne związki branżowe.

12 bm. odbędzie się spotkanie z autorami nagrodzonych prac, którzy otrzymają nagrody pieniężne i dyplomy.

Rzeszowski Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego, ma już na swym koncie niemałe zasługi w dziedzinie popularyzacji zagadnień historycznych województwa rzeszowskiego. Ostatnio po przerwie wakacyjnej wznowiona została akcja zebrania naukowych, które będą się odbywać jak i poprzednio w czwartki, w czytelni Państwowego Archiwum w Rzeszowie. Podczas ostatniego zebrania prof. Marian Aleksiewicz wygłosił odczyt pt. „Działalność związków zawodowych na terenie województwa rzeszowskiego w latach 1918—1921”.

Zgodnie z założeniami regulaminu, konkurs „Wieża bliżej teatru” został zakończony (odbywał się w trzech etapach w ciągu trzech lat). Wynik III etapu podaliśmy w jednym z ostatnich numerów.

Organizatorzy wychodząc z założenia, że tego rodzaju akcje w poważnym stopniu przyczyniają się do popularyzacji kultury wśród społeczeństwa, ogłosili nowy konkurs, rozszerzając jego zasięg na środowiska małopolskie. Nosi on obecnie nazwę: „Bliżej teatru”.

Jak nas poinformowano w Z. O. Związku Teatrów Amatorskich, udział do konkursu w woj. rzeszowskim zgłosiło 82 placówki k.o., w tym najwięcej z terenu pow. jarosławskiego.

Wycieczki do teatrów zawodowych i spotkania z ludźmi teatru już się odbywają.